№ 25 Warszawa, dnia 12 (24) Czerwca 1882 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

Z końcem kwartału przypominamy ponowienie prenumeraty na czas dalszy, a co najlepiej uskuteczniać za pośrednictwem samej Redakcyi.

Cena prenumeraty na **Tygodnik Mód i Powieści** wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . . rs. 1 k. 25.
Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50.
Rocznie . . . . . rs. 5.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. 3.

BOHATER.

NOWELLA.

Chociaż to był dzień roboczy i godzina przedpołudniowa, jednak w karczmie, tuż nad wyniosłym brzegiem Prutu położonej, był ruch i gwar, jak gdyby w dzień świąteczny. Brakowało tylko grajków, dziewcząt i mołodyc, gdyż mężczyzn, tak gazdów jak i parobków było dosyć.

Pomiędzy gośćmi żwawo się uwijał żyd, arendarz i dzierżawca promu, zagadując to do tego, to do owego, a nawet z własnej ochoty traktował niektórych wódką.

Chłopi na wszelkie zachęcenia i propozycye układu drapali się w głowę, spluwali, popijali wódkę, ale do zgody nie przychodziło.

To ten, to ów zbliżał się do zapoconego okienka, ocierał go rękawem kożucha i popatrzał, by po chwili z odmowną odpowiedzią zwrócić się do arendarza.

I było zaiste na co spojrzéć.

Jak daleko oko sięgało widać było mętną żółtawą wodę Prutu, który na szumiących a spienionych falach niósł krę. Olbrzymie tafle lodu niesione prądem doganiały jedna drugą i gwałtownie uderzały o siebie. Po sekundzie chwiania świeża fala silnie potrącała krę, ponawiały się uderzenia, aż wreszcie jedna rozpryskując się z trzaskiem torowała drugiej dalszą drogę.

Silny wiatr lutowy ze świstem przebiegał pola i lasy, zmieniając biały śnieg na brudną wodę, aż wpadał rozszalały na wezbrane nurty Prutu i torując sobie drogę wysokiemi falami niknął gdzieś w dali.

Nic tedy dziwnego, że żaden z chłopów, mimo nęcących obietnic arendarza, nie chciał się zdecydować na przewiezienie obcego człowieka, który wkrótce miał przybyć.

Arendarz widząc bezskuteczność dotychczasowych propozycyi, podwoił wkrótce ofiarowaną sumę, aż wreszcie doszedł do olbrzymiej cyfry stu guldenów.

Niektórzy się zawahali.

Sto guldenów! — coby to można nakupić za nie, krowę, konia, ba! parę koni i jeszczeby się coś zostało.

Sto guldenów! powtarzali ścicha.

Wtem odezwał się milczący dotychczas Osip Soroch, zamożny gazda wiejski, mąż córki wójta i ojciec trojga dzieci.

— Czy wam życie niemyłe, ta za pieniądze chcecie go sprzedać.

To mówiąc powstał z ławy.

Był to wysoki, kościsty chłop, który dziwnym wybrykiem natury, miał śpiczastą czaszkę a na niej kręcące się włosy. Ta właściwość i głos cienki nabawiły go przezwiska: „Dudek". Pod tem przezwiskiem znała go cała wieś a on przestał się już za nie gniewać, gdyż był to zabytek jeszcze z pacholęcych czasów.

— Prawdę mówi Dudek, odezwał się inny.

— Ano pieniądze są, ta i nie będą, a nie ma ta i będą, filozofował wójt.

Wśród tej rozmowy pojawiły się nagle przed karczmą zziajane konie, zaprzęgnięte do woza chłopskiego, z którego szybko zeskoczył podróżny.

Po krótkiej chwili otworzył drzwi karczmy i badawczo spojrzał po zebranych.

Była to jedna z tych fizyognomii, którą w Austryi określano jako „politisch höchst verdächtig", lub też „der ewige Revolutionist".

Przybyły lekko uchylając czapki rzekł:

— Sława Isusu Chrystu!

— Wo wiki wikow! była gremialna odpowiedź.

— Są przewoźnicy, rzucił szybkie pytanie arendarzowi.

— Nu, chodź pan do alkierza, pogadamy, odparł żyd.

Po ich wyjściu zapanowało krótkie milczenie.

— Ot pan, szepnął któryś.

— Oj nie przewiezie się on dzisiaj, powiedział drugi.

Zebranych chłopów nie tyle dziwiło pojawienie się podróżnego, ile zaciekawiała przyczyna zmuszająca do przebycia wezbranego Prutu.

Nie dziwiło ich przybycie podróżnego, gdyż były to czasy walki i trwogi. Armia węgierska, po bohaterskiej obronie środkowych Węgier, cofnęła się pod dowództwem znakomitego strategika jenerała Bema do Siedmiogrodu, a broniąc górzystego kraju kierowała się ku granicy tureckiej.

Lecz i Austryacy nie próżnowali i szybko rozciągali kordon od południowej strony Bukowiny.

Jeśli tedy nad Prutem często spotykano mundury wojskowe pełne zarozumiałości i bezczelności zwycięzców, to nie również częściej pojawiały się zagadkowe postacie agitatorów i ludzi wiernych narodowi, który pragnął zrzucić jarzmo niewoli austryackiej.

Widok tedy przybyłego podróżnego nie zadziwił chłopów, którego sam ubiór i twarz energiczna zdradzały, jako należącego do stronnictwa rewolucyjnego.

Ale przyczyna natychmiastowej przeprawy przez Prut — była istotną zagadką.

Po chwili wszedł arendarz i zawezwał wójta do alkierza. Widocznie pragnął ułagodzić niebezpiecznego opozycyonistę.

Rozmowa długo nie trwała i wkrótce wyszli z alkierza wójt i arendarz, który zaczął natarczywie ponawiać dawniejsze propozycye, podwyższając cenę przewozu.

Tymczasem około wójta uformowała się gromadka, żywo rozprawiająca a urywane zdania podawano sobie z ust do ust.

— Pięćset ludzi!

— W lesie, na kalinowej polanie!

— Na drugiej stronie!

— Zginą!

Te słowa „zginą i pięćset ludzi" najdłużej brzmiały w niskiej karczemce.

Podróżny stał w drzwiach alkierza i niecierpliwą ręką tarł krótko ostrzyżoną brodę, a widząc bezskuteczne targi, zawołał gromko:

— Dam 200 guldenów, wszystko co mam — tylko przewieźcie mnie.

Propozycya poparta pugilaresem znacznej objętości, znów zachwiała chłopów.

— Jutro to może się i uda, odezwał się ktoś z tłumu.

Na to krzyknął porywczo podróżny:

— Dziś przed nastaniem nocy tam być muszę— do jutra wszyscy zginą w zasadzce.

Nastało głębokie milczenie, tylko świst wiatru, trzask kry i szum wody głośniej się odezwał i trwożył obecnych.

Wówczas podróżny, obracając się do arendarza i rzucając mu należność zawołał:

— Dawaj łódź!

I nie oglądając się wyszedł z karczmy.

Wszystko co żyło ruszyło za nim.

Kilka łodzi drżąc chwiało się przy promie.

Podróżny wszedł na prom, skoczył do pierwszej z brzegu, wziął w rękę wiosło i kazał łódź odwiązywać.

Ta odwaga zaimponowała wszystkim, tem bardziej, że samo ujęcie wiosła przez podróżnego zdradzało go jako nieobznajmionego z wodą.

Tuż przy promie stał przed innymi Dudek, jeden z najgłówniejszych przeciwników przeprawy, co chwila drapał się w śpiczastą i nastroszoną włosami głowę, podnosząc mimowolnie wysoką siwą, baranią kuczmę i krzywił się niemiłosiernie.

W chwili gdy podróżny miał łódź od promu odepchnąć, krzyknął Dudek:

— Zaczekajcie!

Podróżny stanął.

— Czy naprawdę zginie ich pięćset?

— Tak jest, zginą.

— Wielki Boże, pięćset! zawołał żałośnie, a tuż za nim odezwały się westchnienia zebranych chłopów; pięćset powtarzał zwolna; a i pan zginie? mówił pytając.

— Ha trudno!

Dudek przez kilka sekund namyślał się, nagle zawołał:

— Ano, pojadę i ja z wami.

I nie oglądając się ze zgrabnością jakiejby się po nim nikt nie spodziewał, wbiegł na prom i skoczył do łódki. Przeżegnał się trzy razy i zdjąwszy kożuch z siebie stanął u steru.

— Pomahaj Boh! krzyknął ktoś z gromady.

— Daj Hospody Boże! odpowiedział Dudek i silnym rzutem wiosła odbił łódkę, kierując się w górę rzeki.

Przed nimi roztaczał się majestatyczny swą grozą widok. Wezbrany Prut dzielił się na trzy główne prądy, z których trzeci powstały z dopływu górskiej rzeki był najniebezpieczniejszy a każdy groził śmiercią, tak przez wysoką i wzburzoną falę, jak i przez olbrzymią krę, mogącą jednem uderzeniem rozbić łódkę.

Podróżny śmiało spojrzał na rozszalały Prut i rzucił pytanie:

— Dopłyniemy?

— Bóg wie, brzmiała odpowiedź.

Po chwili wyjął podróżny z bocznej kieszeni kartkę i rzekł oddając ją chłopu:

— Gdybym ja się nie dostał, to wy oddacie tę kartkę w obozie, na kalinowej polanie w lesie, czy znacie ją?

— Znam, odparł Dudek i schował kartkę do pasa.

— Zaniesiecie dziś napewno? pytał dalej.

— Zaniesę, rzekł Dudek tonem przekonywającym.

Póki byli blizko brzegu, łódź sunęła szybko po względnie cichej wodzie. Podpłynąwszy dobry kawał w górę, Dudek skierował łódź na pierwszy prąd, który ją szybko porwał i zaczął gwałtownie unosić z biegiem. Zaledwie nadzwyczajnym wysiłkom obóch udało się wymknąć bez szwanku z prądu i wpłynąć na spokojniejszą wodę.

Mieli jeszczcze przed sobą dwa rwące prądy, a już przebycie jednego kosztowało tyle pracy i trudu, że pot lał im się z czoła, i bez pomocy wprawnego Dudka byłby podróżny przy pierwszem spotkaniu z gwałtowną falą zginął.

W milczeniu płynęli dalej kierując się nieustannie w górę.

I znów wpłynęli na prąd. Tym razem przeprawa była trudniejszą, gdyż nietylko trzeba się było bronić rwącej fali, ale odpychać krę, która groziła przewróceniem łódki i wylewać wodę, którą wysoka fala rzucała na łódź. Tę ostatnią czynność pełnił podróżny, pierwsze dwie funkcye dobrowolny przewoźnik.

Jeszcze jedno i ostatnie łożysko należało przebyć, w takim razie połowa pracy byłaby skończoną i dopłynięcie do brzegu było rzeczą pewną.

— Chyba się uda, krzyknął wśród szumu i wiatru podróżny w formie pytania.

Lecz Dudek ani się obejrzał i silnie pracował wiosłem — może nie słyszał, a może i nie chciał odpowiadać.

Wreszcie wpłynęli na trzecie łożysko, łódź porwana pędziła jak strzała prosto na kry. Napróżno Dudek robił wiosłem, czy zbyt osłabł czy prąd był silniejszy, ale widocznem było, że lecieli na niechybną zgubę. Już, już łódź miała uderzyć o krę, gdy Dudek szybkim ruchem podstawił wiosło. Pękło na połowę, ale to osłabiło uderzenie łodzi i skręciło ją na bok, tak, że nie sterem, lecz wzdłuż uderzyła o krę. To ich uratowało. Dudek pochwycił drugie wiosło i starał się usilnie odpłynąć z tej niebezpiecznej przystani, gdyż świeża kra nadpływała, która musiałaby zgnieść łódkę. W sam czas odsunęli się od kry, ale znów porwał ich prąd rzeki i unosił gwałtownie.

Kilka stóp przed nimi zaczynała się cicha woda, a jednak dostać się do niej nie mogli.

Dudek z rozwianym włosem, z purpurową twarzą, z obnażoną piersią wiosłował bez wytchnienia a poświst wiatru chłodził rozpalone czoło i gorączkę ciała.

Ale daremna praca. Znów pędzi łódź na krę. Dudek gotował się do tego samego fortelu z wiosłem jak poprzednio. Już bliżej kry, bliżej, wtem nagle wiatr gwałtownie świsnął, olbrzymia fala rzuciła łódką i w jednej chwili wśród szumu wody, poświstu wiatru, trzasku kry przeraźliwy krzyk rozdarł powietrze.

W kilka sekund na powierzchni pokazała się głowa, ręce obnażone podniosły się, zwolna wysunęły się ramiona i gwałtownym rzutem wypłynął Dudek.

Urodzony nad Prutem pływał jak ryba i teraz chociaż zmęczony trzymał się jako tako na powierzchni, aż dopłynął większej kry. Wskoczył na nią, wstrząsnął głową, otarł oczy i szukał na wodzie swego towarzysza, łodzi i kożucha.

Wokoło pustki, tylko woda żółtawa, mętna, i kry.

Pozostała mu tylko jedna droga ratunku, dostać się wpław na cichą wodę a dalej to już pójdzie. Nie miał czasu się namyślać, trzeba było natychmiast się decydować. Spojrzał po sobie. Lekkie zgrzebne ubranie nie ciężyło mu, ale buty?...

Żal mu było zostawiać ich na lodzie — lecz milsze życie niż buty. I w jednej chwili pozbył się obuwia.

Teraz czekał sposobnej chwili do skoku.

Pęknięcie kry nie dało mu się długo namyślać, skoczył, zniknął i już był na cichej wodzie.

Jakiś czas płynął na wznak odpoczywając, następnie skierował się ku widniejącym kępom drzew.

Dopłynął.

Woda była po pas.

Szedł zwolna i doszedł do suchego brzegu.

Tu usiadł, zdjął z siebie ubranie, wykręcił, ubrał się napowrót, a przepasując się pasem przypomniał sobie karteczkę. Wyjął ją — pismo było zalane wodą, ale czytelne. Osuszywszy kieszeń pasa włożył tam kartkę i wstał. Popatrzył na słońce. Już się miało ku zachodowi, jeszcze z trzy godziny pozostawało mu do przebycia dwóch mil.

Tam w oddali widniała wieś, tam mógł się ogrzać osuszyć, napić wódki, wszystko to nęciło go ku temu. Ale znów na myśl przyszedł mu podróżny, nieboszczyka wola jest święta, kto ją nie wypełni, tego prześladować będzie za życia i po śmierci a i tych pięćset ludzi narażonych na śmierć, stanęło mu żywo w pamięci. Westchnął, żałośnie spojrzał ku dalekiej wsi, ku swej stronie, na słońce i ruszył ku lasom.

Pod wieczór kierunek wiatru się zmienił, północny wiatr mroźnie przeleciał. Ziemia stopniowo tężała, na jej powierzchni powstawała cieniutka powłoka lodu, a krople na drzewach zmieniały się w zimne kawałki lodu.

Dudek drżał z zimna. Na mokrem ubraniu okazywały się małe igiełki lodu, biały szron pokazywał się gdzieniegdzie. Chłop uderzał na krzyż rękami. przyspieszał kroku, ale i mróz wzmagał się stopniowo.

Po chwili zaczął padać drobny śnieg zmieszany z lodem, który niemiłosiernie siekł chłopa. Szedł dalej, opierając się prądowi wiatru.

Chyba się wrócę, mówił do siebie, lecz mimo tego nie wstrzymywał kroku, ale szedł śmiało w kierunku polany.

Przyszło mu na myśl gospodarstwo, żona, dzieci, teraz tam w chałupie tak ciepło przy ognisku, a kto da obrok koniom, kto podściołkę wołom, kto opatrzy bydło — przystanął.

Zaczął się wokoło rozglądać — dreszcze co chwila wstrząsały nim, głowa paliła się gorączką, w oczach mu się ćmiło.

Czy tylko dobrą drogę obrał?

W lesie szybko mrok zapadał i słychać było jedynie poświst wiatru, który żałośnie jęczał a wtórowało mu krakanie ptactwa zimowego.

Dudek nie poznawał drogi.

— Ot oman, szepnął trwożliwie i szybko się przeżegnał.

Oparł się o drzewo, odpoczywając.

Nasłuchiwał.

Wiatr wył, jęczał, płakał na różne tony. Dudkowi przyszły na myśl baśnie i skazki o pokutujących duszach, o wilkołakach i strachach — włosy mu powstały na głowie.

Wtem tuż z za drzewa zda mu się, że wysuwa się podróżny, towarzysz z łodzi.

Wstrząsnął się Dudek, szybko się przeżegnał i mara jego wyobraźni zniknęła.

Odetchnął.

Zimny wiatr chłodził gorączkę, poznawał teraz drogę — i wkrótce pospieszał naprzód.

Wystające kamienie i korzenie, ostre kawałki lodu raniły nogi, każdy krok znaczył się krwią — niskie gałęzie leszczyny i krzewów smagały mu twarz i ciało, mimo tego Dudek szedł naprzód, przyspieszał kroku, biegł niemal.

Teraz już o niczem nie myślał jak tylko o kalinowej polanie — byle się tam dostać — dlaczego to robi i czy przyjdzie na czas o tem nie myślał, nie zdawał sobie z tego sprawy.

Szedł machinalnie, jak automat, kierował się instynktem.

Zdala posłyszał rżenie koni.

Omdlałe siły nabrały elastyczności.

Na polance uwijało się kilkunastu ludzi, otaczając zaimprowizowany z burek namiot.

— Kto idzie? zawołała straż.

Dudek przystanął.

Z odwiedzionym karabinem zbliżył się żołnierz i zobaczywszy chłopa, dał znak alarmujący.

W tej chwili nadbiegł wachmistrz, zeskoczył z konia i popatrzywszy na wystraszonego chłopa krzyknął: „Szpieg".

Dwóch żołnierzy porwało Dudka, ten im się nie bronił, a drżąc z zimna i strachu wyjąkał tylko słowo: „Pismo"!

Na pytanie gdzie i jakie, wyjął z pasa karteczkę, którą w tejże chwili doręczono dowódzcy ariergardy, bowiem główny korpus już wyruszył.

Dowódzca przeczytawszy kartkę, zakomenderował: „Na koń"!

Puszczono chłopa, żołnierze w mgnieniu oka rozebrali chwilowy namiot i kłusem ruszono uprzedzić o zasadzce głównodowodzącego.

Dudek pozostał sam na polanie, tylko tam gdzie stał namiot tlało ognisko.

Sztucznie podtrzymywane siły zaczęły go opuszczać, zaledwie się dowlókł do ogniska.

Zaczął się ogrzewać.

Przyjemne ciepło odczuwał w swem ciele, rozkoszował się niem. Nawet wiatr ustał, i tylko cicho padał śnieg wielkiemi płatami.

Dudkowi robiło się gorąco, a głowa ciężyła mu ołowiem, czuł niepohamowaną chęć do snu, bronił mu się rozpaczliwie. Chciał powstać, zabrakło mu siły, szukał ogniska, aby bólem ognia wyrwać się z uścisków śmierci — lecz ognisko zagasło.

Opór jego zwolna zmniejszał się, senne powieki opadły na oczy, podłożył rękę pod głowę i — usnął.

A śnieg cicho, bez szelestu sypał a sypał...

A. Gruszecki.

Pragnienia młodej duszy.

Chciałbym skrzydła mieć sokole,
Szybkim pędem wzbić się w górę —
Bystrym lotem przebić chmurę...
I wydostać się na wolę!—

Chiałbym bujać po błękicie,
Na swych barkach chmury dźwigać —
Lub z orłami się wyścigać....
I odpocząć na gór szczycie! —

Chciałbym lecieć w step szeroki...
I tam bujać długo, długo...
Obmyć czoło deszczu strugą...
I znów wzlecieć pod obłoki!

Chciałbym błądzić po przezroczy,
Słuchać gniewnych wichrów wycia,
Słyszeć głośne gromów bicia...
W błyskawicy kąpać oczy!...

Chciałbym w zgodzie z żywiołami,
Rzucać gromy, szerzyć burze —
Ukryć słońce w czarnej chmurze,
Szaleć wichrem nad skałami!...

Chciałbym wzbić się nad te skały,
Po nad lasy — nad sosnowe...
I znużoną swoją głowę,
Ukryć w obłok szarobiały!

* * *

Tak godzina za godziną —
Chciałbym bujać skrzydły temi,
By nie widzieć, że na ziemi —
Wkoło smutek i łzy płyną!...

Kazimierz Lechnicki.

Radziwiłłów.

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dalszy ciąg.)

Nazajutrz miałem długą rozmowę z Jenerałową. Opowiedziałem jej wczorajszą scenę w pokojach Kseni i naszą nocną wyprawę w pole.

Staruszka słuchała mnie zasmucona.

— Zmartwiłeś mnie tem co mówisz panie Sewerynie, rzekła mi markotnie. Kocham to dziecko i pragnę gorąco, aby czuła się w mym domu szczęśliwą... Przyznasz sam, że robię co tylko jest w mej mocy, aby ją zadowolnić i ulegam nawet fantazyom jej do pewnego stopnia. Boli mnie to że jak się zdaje wszystko to napróżno. Natura to tak dziwna, tak odrębna od innych dziewcząt w tym wieku, że trudno doprawdy dać sobie z nią radę. Obawialiśmy się, żeby jej się głowa dobrobytem i wygodami, któremiśmy ją otoczyli, nie zawróciła nagle... tymczasem to co inną zepsułoby, ją unieszczęśliwia i gdyby mogła, ptakiemby nam uciekła do swojej chaty stepowej i owitki przystrojonej sznurkiem czerwonym. Na takie usposobienie nie byliśmy przygotowani i nie wiem już co czynić, jakiej zawezwać siły, aby tę duszę wymykającą nam się ciągle, zatrzymać tutaj. Nie mogę przecież puścić jej tam napowrót, ani jej tu kawałka stepu sprowadzić.

— Weźmy pół drogi — odparłem. Nie podobna nam tworzyć rzeczy niemożebnych, możemy jednak złagodzić jej niewolę. Myśmy tu wszyscy starzy, jak te nasze mury, spokojni, przeżyci... Nie możemy więc zrozumieć tej natury młodej, silnej, gorącej, rwącej się do świata, do ruchu, do powietrza... Nie krępujmy jej, nie zagrzebujmy jej samolubnie pomiędzy sobą, pozwólmy jej swobodnie używać powietrza, słońca, wiatru na którym wyrosła — nie obcieśniajmy jej cudownej młodości, nie narzucajmy jej konwenansów!... Dlaczegóżby jej pani nie miała dać konia do którego tak tęskni?

— Czy sądzisz, panie Sewerynie, że toby co pomogło? zapytała zamyślona Jenerałowa.

— Zdaje mi się że byłaby bardzo zadowoloną, gdybyśmy jej wybrali jakiego dobrego bieguna i oddali go na jej rozkazy.

— Ha! to zróbmy jak ci się zdaje mój przyjacielu. Z nas wszystkich, ty podobno choć ze szpakowatą czupryną, najmłodszy jesteś duchem i najlepiej jakoś rozumiesz to nasze fantastyczne dziecko. Jeśli to co ma pomódz, to wybierz jej jakiego spokojnego konia i niechże sobie jeździ. Boję się tylko aby zbyt nie szalała i aby to wszystko ujęte było w jakąś formę przyzwoitą, aby przecież ta nasza amazonka, którą my znamy jako dziecko najlepsze i najniewinniejsze pod słońcem, nie przedstawiała się ludziom w innem świetle i nie naraziła na złe sądy.

— Zachowajmy też formy wszelkie, odpowiedziałem wesoło. Sprowadźmy siodło i rynsztunek cały z Warszawy, każesz pani zrobić amazonkę piękną i elegancką a ja ofiaruję się pannie Kseni na adjutanta nieodstępnego w jej wycieczkach!

Gdyśmy powróciwszy do salonu, objawili Kseni nasz projekt, dziewczyna najprzód rzuciła się ciotce na szyję i wycałowała ją w usta, twarz i oczy: następnie wyściskała pannę Rewińską i nauczycielkę z kolei, a w końcu schwyciwszy w pół księdza Osowickiego, najpierw rozsypała mu tabakę, której właśnie porządną szczyptę niósł do nosa, i porwawszy go wykręciła nim szalonego młynka kilkanaście razy po pokoju: a potem rzuciwszy go odurzonego i chwiejącego się na środku salonu, zarzuciła sobie ponsowy szal panny Anastazyi na głowę i szyję i ująwszy mnie z tyłu za ramiona, popchnęła do drzwi i do sieni, dalej na werandę, aż wreszcie zaciągnęła mnie do stajni, gdzie kazawszy masztalerzowi zaprezentować sobie karego Burana, oznajmiła mi stanowczo i absolutnie: że na innego konia nie wsiądzie, jak tylko na tego jedynego, gdyż żaden nie posiada takich cnót kardynalnych jak karosz który bije, kąsa, wspina się i zrzuca.

Wydała też zaraz rozkaz: że odtąd nikomu prócz niej dosiadać go niewolno — na domiar wszystkiego, musiałem kazać konia przeprowadzić do gródki osobnej, zamykanej, aby klucz zawsze był w jej posiadaniu, a skoro zainstalowaliśmy go w tej nowej siedzibie, dziewczyna pomimo próźb i protestacyi moich, weszła śmiało do gródki i stanąwszy z doświadczeniem starego jeźdźca tak blizko konia, że uderzyć jej nie mógł, poczęła to zwierzę złośliwe, stulające uszy i świecące oczami jak karbunkułami, głaskać po szyi i przemawiać do niego jakimś swoim odrębnym, dla mnie niepojętym językiem, w którym tylko od czasu do czasu „Waśka! Waśka!" rozumiałem.

Koń z początku chrapał, drgał i strzygł uszami niespokojnie, wkrótce jednakże oswoiwszy się z tym głosem i pieszczotą, zaprzestał ruchów opozycyjnych i wyciągnąwszy łabędzią szyję, począł dziewczynę obwąchiwać uważnie, dotykając z namysłem nozdrzami jej rąk, sukien i twarzy, a kiedy w końcu spuścił szlachetną głowę i parsknął jakby przystając na przyjaźń, Ksenia objęła jego szyję, pocałowała go w nozdrza i piersi i wychodząc z gródki rzekła mi wesoło:

— Zobaczysz mój staruszku, jaka to z nas będzie para przyjaciół niedługo!

Zaraz dnia tego napisaliśmy do Warszawy po siodło damskie i utensylia wszelkie do jazdy konnej, a w dni kilka przy zbliżającej się szybkim krokiem wiosennej porze, rozpoczęliśmy nasze wycieczki.

Nic cudniejszego nie było można sobie wystawić, jak ta młodziutka smukła amazonka, w czarnej sukiennej długiej sukni i męzkim kapeluszu nasuniętym na czoło, siedząca lekko i pewno na pysznym karym arabie, prowadząca go ze swobodą i wprawą wytrawnego jeźdźca, hamująca z wdziękiem i niedbale ogień szlachetnej krwi, pokrywającej delikatną siatką żyłek wysmukłą szyję konia.

Jeźliśmy wyjechali czasem na szosę wiodącą ku Warszawie, ludzie stawali po drodze, powozy jadące zwalniały, a z powozów mężczyzni wychylali się za kwitnącą twarzą dziewczyny, rozjaśnionemi oczyma patrzącą na świat Boży, swobodną piersią chwytającą ciepłe wiosenne powietrze, rozradowaną pięknością świata, jasnością słońca, swywolą konia, wszystkiem!...

W niejednej twarzy widziałem zdumienie, nie jedne oczy czarne, lub niebieskie, siwe, lub ciemne pogoniły za nami z zachwytem i byłem dumny moją towarzyszką. Byłem dumny ja tylko, bo towarzyszka moja tego wszystkiego nie widziała. Uśmiechała się radośnie do budzącej się wiosny, rozmarzonemi oczami wodziła po zielonych smugach i polach, klepała po szyi Burana podbudzając go do coraz nowych skoków i szaleństw, czasem przesadzała jednym skokiem stos szabru, lub szeroki rów szosowy, i zanuciła jakie tęskne oderwane tony ruskiej dumki. O piękności swojej nie wiedziała nic, ani się o nią troszczyła.

Gdyśmy tak raz jechali obok siebie, jednego pięknego kwietniowego wieczora — mijał nas elegancki ekwipaż, którego młody właściciel aż podniósł się na siedzeniu na widok cudnej mojej amazonki. Ale amazonka nie spojrzawszy nawet na pięknego, młodego chłopca o zamaszystym, mazurskim typie twarzy, wskazała mi szpicrutą jego konie wołając żywo:

— Patrz staruszku, co za piękne kasztany i właśnie tego cienia jaki najlepiej lubię.

Pomyślałem sobie: w tej dziewczynie jeszcze wszystko śpi. I kiedy potem ukrainka rzuciwszy swobodnie cugle na szyję konia i poddając się miękko jego swywolnym ruchom i skokom, kołysała się lekko w siodle przemawiając do faworyta dźwięczną mieszaniną polskich i ruskich wyrazów, patrzałem z przyjemnością na tę wiotką postać oblaną promieniami zachodzącego słońca i myślałem sobie: co to będzie gdy dla tej cudnej istoty nadejdzie także wiosna, gdy się wszystko w niej obudzi i jak kwiat obróci się za słońcem, szukając promienia pod którego wpływem rozrośćby się mogła i zakwitnąć? Co to będzie gdy to dziecko niezwykłe i fantastyczne pokocha wreszcie? I jaka to będzie ta miłość? Czy owo prawdziwe, dobroczynne uczucie pod którego wpływem rozwinie się i wyrośnie w kobietę — czy gorączka ułudna, wiodąca za sobą burze, które może złamią, zniszczą ten pączek w zawiązku? Czy to dziecko wybierze dobrze, czy pokocha szczęśliwie? myślałem sobie — i w tej chwili zlękłem się. Znałem jej duszę gorącą, namiętną, aż dziką i przejęła mnie o nią trwoga wielka. Patrzałem z niepokojem na tę twarz piękną, na to czoło czyste i szlachetne, na oczy głębokie i zadumane. I pragnąłem wyczytać z nich odpowiedź na me myśli, odgadnąć jej przyszłość.

Ksenia nie domyślała się wcale mej troski — jechała wybijając lekko szpicrutą na szyi konia, takt do jakiejś smutnej, czumackiej dumki, którą nuciła, a która nie uważałem jaki miała początek, ale kończyła się skargą młodego czumaka, że:

— „Pryszow do karczomki, na tin pochylywsa,
A lude skazały: szczo czumak upyw sa...
A czumak ne wpyw sa,
Tylki zażuryw sa..."

Gdy spostrzegła, że na nią patrzę badawczo i długo, roześmiała się do mnie.

— Co tak patrzysz na mnie? czy mam może kapelusz krzywo na głowie? zapytała podnosząc rękę do kapelusza.

Było to jeszcze dziecko wesołe, swobodne jak ptak w polu — i na ten raz uspokoiłem się jeszcze.

Wiosnę w tym roku mieliśmy wczesną i bardzo piękną i dzień Zmartwychwstania Pańskiego zastał już pola falujące bujną zielenią, drzewa rozpękające w listki blado seledynowego koloru a ogrody i sady bielejące od kwiecia gruszy i jabłoni, śliwi czereśni, prostaczych czeremch i cierni, sypiących przy każdym podmuchu wiosennego wietrzyka, białe lekkie puchy na głowy kręcących się żwawo przy robotach polnych ludzi.

Zaraz po świętach Wielkanocnych spostrzegłem w zwykłych zwyczajach Jenerałowej wielką zmianę. Staruszka od śmierci nieboszczyka męża usunąwszy się od świata, na którym dawniej szerokie posiadała stosunki, w cztery ściany swego domu nie przyjmując nikogo, nie wyjeżdżając prawie nigdzie oprócz do kościoła i raz w rok do Warszawy, gdzie miała dalekich krewnych, ubierając się od lat piętnastu w jedną i tę samą gładką czarną suknię, teraz najniespodziewaniej dla nas wszystkich, poczęła się krzątać około swej garderoby.

Z pomocą panny Anastazyi otwierając szafy pozamykane od lat kilku, przeglądała suknie swe dawne z kosztownych staroświeckich materyi, szale tureckie i perskie, okrycia bogate z koronek i aksamitów i wyciągała na światło Boże te dawno niewidziane i zapomniane zabytki świetnej niegdyś elegancyi. Co było nowsze i świeższe odkładano na bok i po walnych naradach i przeglądach paryskich żurnali, oddawano w ręce dwóch zręcznych i biegłych w krawiectwie panien służących, które to wszystko odświeżały, krajały i przerabiały na nowe, modne fasony. Oprócz tego kilka kostiumów eleganckich wizytowych sprowadzono z Warszawy i moja szanowna przyjaciółka, nie dawno modlitwie tylko i pobożnym rozmyślaniom oddana, jęła przymierzać to wszystko, ożywiona i wesoła. Kiedym ją raz zastawszy przed lustrem przymierzającą piękny koronkowy czepeczek z fiołkowemi wstążkami, zapytał: coby ten nagły zwrot do elegancyi znaczył? uśmiechnęła się do mnie pogodnie.

— Powiedziałeś mi przecież, że pomiędzy nami staremi, duszno być musi młodej takiej istocie jak nasza Ksenia. Miałeś racyą, taka młoda żywa natura, potrzebuje życia, rozmaitości, wrażeń. Wymyśliłeś jej konną jazdę... to dobrze—ja z mej strony pójdę jeszcze dalej. Powrócę dla niej do świata z którym jak sądziłam zerwałam już na zawsze. Ktoś powiedział kiedyś, że najlepszemi studyami jest znajomość ludzi — zdaje mi się, że tak jest w istocie. To dziecko ludzi nie zna najzupełniej, wprowadzę ją pomiędzy nich i myślę, że to wyrobi ją najlepiej i nie pozostanie bez wpływu na ten umysł żywy i inteligentny. Pozawiązuję na nowo stosunki zaniedbane, porobię wizyty w okolicy, i dom nanowo otworzę. Nie byłabym przecież inaczej postąpiła gdybym miała córkę własną, dodała z lekkiem westchnieniem — a obiecałam jej serce i opiekę matczyną. Cóż mówisz na to wszystko mój przyjacielu? Ukraińska nasza rusałka tworzy tu cuda prawdziwe: wszyscy jakoś odmładzamy się przy niej i nawet ja stara biorę się do takich strojów jak ten oto czepeczek z fiołkami.

Ucałowałem z uwielbieniem ręce tej zacnej kobiety.

Przez kilka tygodni następnych Jenerałowa wraz z siostrzenicą oddawały wizyty w całem sąsiedztwie bliższem i dalszem.

Mieliśmy podówczas w okolicy kilkanaście domów różnorodnych. Były pomiędzy niemi domy miłe i rozumne, eleganckie i oświecone choć mniej światłe; poczciwe i prawe, choć ani eleganckie ani zbyt światłe, skromne, ciche, poważne, wysoko arystokratyczne, głośne, wesołe, błyszczące w świecie choć nie błyszczały w Niesieckim nigdy, a wszystkie poczciwe, godne i właśnie przez rozmaitość

swoją tworzące jedno zajmujące godne uwagi koło sąsiedzkie.

Pomiędzy temi wszystkiemi domami odznaczał się jeden, dom hrabianki Mirskiej, tem właśnie, że był zarazem elegancki, poważny, wysoko ukształcony i wesoły.

Hrabianka Nina Mirska była starą panną, dawną przyjaciółką i koleżanką z pensyi Jenerałowej. Dlaczego nie poszła zamąż posiadając znakomite w swym czasie wdzięki z dodatkiem szerokich włości w pysznej pszenicznej glebie, wraz z lasami i łąkami, milczą kroniki. Dość że w stanie dziewiczym doszła lat sześćdziesięciu kilku, czerstwa, zdrowa, ruchliwa, krzątająca się zawsze wesoło, zużytkowująca życie na chwałę Bożą i pożytek ludzi, przedewszystkiem zaś siostrzeńca swego Stefana Mirskiego, syna rodzonej siostry starej panny, wychowańca, ulubieńca i jedynego jej spadkobiercy.

Młody Stefan straciwszy rodziców oboje w jednym tygodniu bardzo wcześnie — wychowywał się w domu hrabianki Niny, uważając ciotkę prawie za matkę i ciesząc się jej uczuciem, które całkowite i niepodzielne zlała na jego głowę.

Kiedy przed ośmiu laty przybyłem do domu Jenerałowej, Stefana nie było w Łękawie, mieszkał już w dobrach swych odziedziczonych po ojcu na Polesiu i nigdy go dotąd nie widziałem. Słyszałem tylko o nim wiele, jako o młodzieńcu wielkich nadziei, tak pod względem moralnym, jak materyalnym, i wyznam szczerze ciekaw go byłem widzieć ze względu na dziwnie podzielone a raczej pokrzyżowane zdania, jakie o nim słyszałem. Kilku ludzi dojrzałych i zdolnych coś o człowieku zaopiniować, mówiło mi o nim, jako o człowieku odznaczającym się prawdziwem ukształceniem i niepospolicie jasnym i trzeźwym umysłem, przy charakterze żelaznym i potężnej sile indywidualnej. Z drugiej strony uważałem, że pomiędzy ogółem mężczyzn, między młodzieżą szczególniej, nie posiadał sympatyi. Nazywano go „anglomanem, nowatorem", zarzucano mu zbytek, chłód, sztywność, wzruszano ramionami i uśmiechano się złośliwie.

Wszystkiego tego powodem była powaga i dojrzenie, jakiemi odznaczał się od lat najmłodszych z pomiędzy towarzyszy. Jeszcze w szkołach, nie oglądając się na olbrzymią fortunę, którą w trzech majątkach — jeden sposobem majoratu po stryju, w naszej okolicy położony, drugi własny odziedziczony po rodzicach, na dalekiem Polesiu, a trzeci *in spe* po ciotce posiadał, przykładał się do nauk tak gorliwie, jak gdyby w pracy widział jedyną przyszłość, jedyne kiedyś utrzymanie swoje i kawałek chleba. Skończywszy szkoły chwalebnie, zamiast spocząć na laurach, osiąść w swych dobrach, otworzyć dom dla wesołej kompanii, włóczyć się po jarmarkach, grać w karty, ujeżdżać konie i strzelać dubelty, on, odpocząwszy kilka tygodni w domu ciotki, odetchnąwszy nieco świeżem powietrzem, spakował manatki i książki i wyjechał na uniwersytet do Oxfordu. Gdybyż jeszcze do Paryża, Gandawy, Halli przynajmniej, ale do Oxfordu! Nie jeździł tam żaden szlachcic odkąd świat światem i w kraju działo się dobrze. On przecież pojechał i zapisał się nie na wydział prawny jak mu radzono, ani na filozofią jak go namawiano z drugiej strony, ale na inżynierski.

Ki dyabeł obywatelowi na wsi po inżynierce? mówiono. Myśli nam chyba koleje żelazne od folwarku do folwarku i mosty wiszące na strugach budować?

Ruszano ramionami, śmiano się i czekano końca.

Mirski skończywszy studya pozostał lat kilka w Anglii, przeszedł jeszcze kurs szkoły handlowej, następnie jeździł po całym kraju, zwiedzał zakłady agronomiczne, fabryki, jakiś rok przebył w Irlandyi, zapisawszy się jako wolontaryusz do towarzystwa wysłanego przez zarząd wyższy inżynierski, w celu osuszenia bagien irlandzkich i zużytkowania ich na grunta orne. Po latach ośmiu powróciwszy do kraju nie odetchnąwszy ani chwili jął się do pracy na własnym zagonie czyli — błocie — jak śmiejąc się twierdzili sąsiedzi, zadziwieni nanowo, że młody dziedzic zamiast zamieszkać w pięknych intratnych dobrach majoratowych, niektóre wsie powypuszczał w dzierżawy, inne wraz z pałacem i parkiem oddał w ręce doskonałego i sumiennego plenipotenta, a sam wyniósł się w swoje rodzinne strony, na oddalone i smutne Polesie i osiadłszy tamże, jął wytrwale i z zamiłowaniem cywilizować ten prawdziwie dziewiczy kawałek naszego kraju, bijąc kanały, osuszając bagna i trzęsawiska, wydające dotąd tylko kwaśne trawy, chmary komarów i febry uparte, trapiące w każdą wiosnę i jesień lud okoliczny. Dalej skorzystawszy z rzeczki Hreźli przepływającej środkiem należącej do niego puszczy, wybudował nad nią kilka tartaków, spuszczał drzewo w puszczach, obrabiał je na budulec, tarł deski, wyrabiał relsy, koła do wozów, łożyska do strzelb, klepki do beczek, wypalał smołę, dziegieć, terpentynę i wszystko to odstawiał hurtem do najbliższego spławu dnieprowego.

(*D. c. n.)*

MARYA STUART

W HISTORYI I W LITERATURZE.

Napisał

ZORYAN.

(Dalszy ciąg.)

A druga miłość czy lepsza?

Są natury zarówno męzkie, jak i kobiece, które nazywamy kochliwemi, co krótko boleją nad utratą ukochanej osoby i wnet szukają zapomnienia w nowej miłości, lecz czy Maryi w więzieniu, w dniach żalu i skruchy przystoi taka miłość?... to rzecz inna. Ta Marya, co wolny zrobiła wybór, idąc za Darnleja, następnie w szale miłości dla Bothwella stała się wspólwinną zabójstwa męża i z zabójcą przed ołtarzem Pana połączyła dłonie, a dziś tak szczerze tych czynów żałuje, możeż ona *kochać* Lestra? Nie, przenigdy! To nieprawdopodobieństwo psychiczne, a wręcz przeciwne względom etycznym. Przypomnijmy sobie tylko akt pierwszy, a raczej te sceny, w których Marya w rozmowie ze swą piastunką całą niemal przypomina przeszłość, do której zupełnego opowiedzenia posłużą słowa Kennedy do Pauleta. Tam spowiada się Marya tak szczerze, przyznaje się do winy i tak jej żałuje (powrócimy jeszczcze do tego ustępu i pomówimy o nim obszerniej) że zdobywa sympatyą czytelnika, czy widza i piękną jest w całem tego słowa znaczeniu. A potem wszystkiem, już w szóstej scenie tegoż aktu, z rozmowy z Mortimerem dowiadujemy się, że Marya przyrzeka swą rękę hrabiemu Lester, kochankowi Elżbiety!... Cóż ją do tego czynu skłania? Marya tego na korzyść uczucia nie wyjaśnia, z jej słów wnosić możemy, że inna pobudka wiodła ją do czynu. Ona widziała w nim możnego pana, który, dzięki względom, jakiemi go obdarzała Elżbieta, mógł otworzyć drzwi więzienia, a Marya tego najbardziej pragnęła.

Krytycy niemieccy, omawiając tę okoliczność, usiłują tłomaczyć Schillera wspomnianą już kilkakrotnie wiernością dziejową, składają to na karb obyczaju epoki, a jednak w tych ich uwagach znajdujemy tylko poparcie naszego zdania, iż ze względów etycznych nie powinien poeta tak rzeczy przedstawiać. Przenoszenia interesu nad prawdę uczucia nie możemy przebaczyć Maryi, którą ukochaliśmy zaraz na wstępie za jej szczerość i skruchę. Czuł poeta tę niesłuszność, jaką Marya sama tą niby miłością dla Lestra wyrządzała, skoro dla ocalenia choć w części uczuć indywidualnych, poświęconych dla sprawy, pozwala się Lestrowi podnieść z upadku dwulicowości, a podnosi go właśnie tą miłością dla Maryi w chwili, gdy ta już bezpowrotnie dlań jest stracona.

Odsunąwszy indywidualność z pierwszego planu, wprowadza ją poeta po drugi raz epizodycznie na plan drugi. Wiedział on dobrze, że z uczuć najindywidualniejszem jest miłość, dlatego, wplotłszy w akcyą miłość Maryi i Elżbiety dla Lestra, używa jej powtórnie jako motoru słabszego już, budząc ją w sercu Mortimera dla Maryi. Epizod to w dziele istotnie piękny, a że mówiliśmy już o nim poprzednio, ograniczamy się w dalszych uwagach.

Rzuciwszy kilka słów o artystycznej stronie dramatu, przejdźmy do *założenia* poety w „Maryi Stuart".

Treść podaliśmy już w kilku słowach, a z niej uwidocznia się, że *tematem jest tylko skazanie królowej na śmierć*. Nic więcej, jak to skazanie i przeprowadzenie wyroku, który w zaczątku akcyi już jest postanowiony.

Na wstępie mówi Paulet do Maryi:

Rachuj się z Bogiem!

a Mortimer odkrywa jej wyraźnie, że wyrok już zapadł. Marya nie wierzy i pyta:

Onażby śmiała namaszczone skronie,
Oddać hańbiąco pod katowskie dłonie?

i otrzymuje wyraźną odpowiedź:

O! będzie śmiała! Nie wątp ani chwilę.

Widzimy więc, że fakt, który dokonywa się w akcie piątym, już w pierwszym jest z pewnością postanowionym; mówią o nim, jako o rzeczy nieulegającej najmniejszej wątpliwości. Cóż więc pozostało poecie do wypowiedzenia, skoro na wstępie objaśnia nas ze wszystkiem? Oto całe pięć aktów służą mu tylko do historycznej rozprawy nad tem, czy Elżbieta miała prawo skazać równą sobie królową na śmierć. O tem tylko mówią aż do wykonania wyroku. W tym celu przeprowadza przed oczy czytelnika w rozmowach, opowiadaniach i monologach *całą* historyą życia Maryi. Jest to rodzaj moralnego procesu — czytelnik ma być sędzią. Marya ze wszystkiego się spowiada, wszystkiego żałuje, prócz dumy, która jest słuszną,

a z którą jej tak pięknie. Z rezygnacyą znosi los więźnia, ale nie traci wiary w siebie samą, nie traci godności. Jakże jej przystoją te wyrazy:

Uspokój się, Anno, — te marne ozdoby
Nie są oznaką królewskiej osoby.
Mogą się z nami obejść niegodziwie,
Ale godności naszej nie naruszą.
Tylem już w Anglii przeniosła cierpliwie
I to więc mężną potrafię znieść duszą.

Taż sama godność własna podyktowała jej następne słowa:

Mojego rodu, krwi mojej Elżbieta,
Jak ja, królowa i jak ja, kobieta;
Jej tylko samej, jej, w królów koronie,
Siostrze, kobiecie, serce me odsłonię.

I oto w słowach tych główny punkt wyjścia; tu założenie całej sztuki. Marya, niepewna życia pośród własnych poddanych, szuka schronienia w Anglii, prosząc swej siostry Elżbiety o pomoc. Królowa Anglii bardziej, niźli kobietą i siostrą, była królową. Obawa o tron własny, do którego niegdyś Marya rościła sobie prawo, podyktowała jej inny sposób postępowania, niż się Marya spodziewała. Pod pozorem więc obrony własnego dziedzictwa kazała Maryą uwięzić, obwiniając ją o współudział w spiskach i knowaniach. Złożono na Maryą sąd — a sąd orzekł, że jest winną! Wszystko to działo się przed rozpoczęciem dramatu — początek stanowi chwila w której Marya domyślając się wyroku, nie poddaje mu się, lecz żąda sądu samej Elżbiety i ma słuszność po swej stronie.

Widzimy więc, jak jasno stawia Schiller swą bohaterkę przed oczyma czytelnika; stawia ją piękną, uwięzioną, a jednak niezłamaną, dumną po królewsku. Więziona ta królowa z krzyżem w ręku występuje w dramacie jako przedstawicielka katolicyzmu — jej przeciwniczka staje do walki za wiarę nową protestancką. Ją wprowadza poeta w gronie doradzców i licznego dworu, wesołą i potężną w siłę, lecz chwiejną na duchu. Niemcy nie mogli darować Schillerowi, że tak poniżył protestantyzm, a aureolą świętości olśnił katolicyzm, tak im nienawistny. Dla tej samej przyczyny nie cieszyło się to dzieło nigdy sympatyą na scenach angielskich.

Obok walki dwóch religii, dwóch rodów: prawego, starego i nowego, powstałego ze złamania wiary — występują jeszcze dwa inne kontrasty historycznie prawdziwe. Obok starego rodu otwartość i stara prostota — przy nieprawym tronie Elżbiety podstęp, obłuda i chytrość, nazwana szumnie polityką. Nic też dziwnego. Tron Maryi, oparty na prastarych prawach, silny wiarą, czuł się pewnym, nie potrzebował uciekać się do dwulicowych środków — tak go przynajmniej przedstawia Marya. Elżbieta, dziecię, wedle pojęć katolickich, nieprawe, musiała trzymać się wiary nowej, bo ta ją nazywała dziedziczką prawą, musiała wszelkich używać środków, by tylko wzmocnić swe panowanie.

Dla przedstawienia tych dwóch kontrastów grupuje poeta około Maryi postacie tak czyste jak: Mortimer, Kennedy, Shrewsbury, który na dworze Elżbiety zawsze bierze Maryą w obronę, wreszcie Paulet, co choć wiernym jest poddanym i sługą Elżbiety i dlatego pilnie strzeże Maryi, nie chce służyć za narzędzie skrytobójstwa, broni Maryi przeciw bezprawiu, uchylając głowę przed prawem.

Dwór Elżbiety jest inny; dla jego scharakteryzowania posłużymy się słowami Lejcestra:

Czy nie wiesz, jak tu na tym dworze stoi,
Jak rząd niewieści umysły okował?
Szukasz tu ducha bohaterskiej zbroi,
Co przed wiekami w tym kraju przodował?
Wszystko, co żyje, pod jej kluczem leży;
Stępiał już zapał rycerskiej młodzieży —

Wobec takiego kontrastru reprezentantek dwóch społeczeństw, walka musi się toczyć o życie lub śmierć. Kto zwycięży, trudno z góry orzec. Marya zwycięża moralnie, Elżbieta ma za sobą siłę brutalną a jednak obawia się i w czynach jej nie widzimy tej pewności, którą zwykle daje siła.

Niezawodnie walka taka ma w sobie wiele pierwiastku dramatycznego, a najtragiczniejszem jest to właśnie, że Marya do rozstrzygnięcia swego losu, do wykazania sprawiedliwości musi koniecznie udać się z prośbą do Elżbiety, o której niechęci, a bodaj czy nie nienawiści jest z góry przekonaną. Nie poczuwa się do winy względem Elżbiety, a jednak wątpi o jej sprawiedliwości. Niepewność losu ją dręczy, przeczucie jej mówi, że zbrodnia pierwsza pomści się na niej krwawo. Dla tem większego kontrastu, a tem samem dla wydobycia silniejszego, piękniejszego efektu dramatycznego, każe poeta na chwilę przycichać tym głosom obawy i trwogi, wyprowadza długo więzioną do parku, pozwala jej odetchnąć świeżem powietrzem, zaczerpnąć siły i otuchy. W sercu Maryi w miejscu dawnej niepewności i przeczucia katastrofy, budzi się nadzieja polepszenia losu. Łudzona obietnicami Lejcestra, w nim widzi zbawcę.

Lecz kiedy dowiaduje się o mającem nastąpić przybyciu Elżbiety, dziwna następuje zmiana. Ona, która tak usilnie prosiła o to, jak o największą łaskę, ona, co chciała „siostrze, kobiecie, serce swe odsłonić", w tej chwili takie wypowiada słowa:

Jam jej czekała! Wszystkie moje chęci
Przez lata na tę sposobiła drogę;
Wszystkom zebrała, spisała w pamięci:
Jak ją poruszyć, jak rozczulić mogę.
Dziś przypominać byłoby daremnie;
Wszystko wygasło, nic nie czuję we mnie,
Jak tylko cierpień dotkliwą pożogę.
Serce ją z krwawą nienawiścią czeka,
Z pamięci wszelka dobra myśl ucieka —
A wkoło, wiejąc wężami z warkoczy,
Duchy piekielne spozierają w oczy. (*)

A gdy Shrewsbury radzi:

Zniż czoło w pokorze!

odpowiada stanowczo:

Co? — przed nią? nigdy!

Skąd taka zmiana? jak ją wytłomaczyć? Oto właśnie wpływem tego powietrza wonnego, co upoiwszy duszę radością, przypominało zarazem, że przeszłość była straszna. Wolność wystąpiła w całym blasku jako przeciwstawienie więzieniu, a przyczyną więzienia Elżbieta. Jak okropną musiała się ona Maryi wydać w tej chwili!

Ona srodze dręczyła, jam cierpiała srodze,
Nigdy zgoda na naszej nie zabłyśnie drodze.

Zbudowawszy na powyższych motywach znakomitą scenę spotkania się Elżbiety z Maryą, rozstrzygnął Schiller kwestyą etyczną doskonale. Marya musi zginąć, bo zawiniła jako wspólniczka w zabójstwie męża, a zarazem ginie niesprawiedliwie, skazana przez Elżbietę, przeciw której niczem nie zawiniła.

Wielką była wina Maryi, przyznaje się ona do niej w rozmowie ze swą piastunką, ale kiedy zamyślona mówi:

Często, Kennedy, w dniach świetnego losu,
Do pochlebstw chętne uchośmy skłonili;
Słuszną jest rzeczą, ażeby w tej chwili
Słuchać wyrzutów surowego głosu...

kiedy wyznąje, że pomimo rozgrzeszenia święci pokutą i postami rocznicę śmierci męża, prawdziwie taką zdobywa sobie sympatyą, że nikt chyba nie stanie po stronie Elżbiety. I gdy królowa angielska dla dobra swego narodu podpisuje wyrok, Marya wstępuje na rusztowanie opromieniona aureolą męczeństwa.

W tem okazała się cała moralna niemoc Elżbiety, w tem zwycięztwo idei, choć osoba jej przedstawicielki ginie.

(*D. n.*)

(*) Akt III. scena 3-cia. Cytaty podajemy z tłomaczenia (M. Budzyńskiego). — Dzieła dramatyczne F. Schillera. Bruxela 1862. — Tłomaczenie wogóle bardzo, bardzo słabe.

HOŁD PRUSKI.

Matejko zdaje się szczególniej umiłował świetną epokę Jagiellonów, pod którą to dynastyą rzeczpospolita szlachecka osiągnęła najwyższy swój rozkwit i potęgę. Na wspaniałym gmachu wzniesionym unią i rycerskością szlachty zaledwie znać te niebezpieczne rysy, które później nie dały się usunąć nawet tak znakomitym budowniczym jak posłom sejmu czteroletniego.

Do epoki Jagiellonów należą: „Unia", „Zawieszenie dzwonu Zygmunta", „Kongres Wiedeński z r. 1515", „Bitwa pod Grünwaldem" i kilka prac pomniejszych, a do szeregu tych utworów przybywa „Hołd pruski", obraz znacznych rozmiarów, długości 965 cent. a wysokości 618 cent.

Zanim przyjdziemy do oceny tego obrazu, musimy go streścić. Dnia 10 kwietnia 1525 r. książę Albrecht wykonywa przysięgę lenniczą przed Zygmuntem I na rynku krakowskim.

Na podniesieniu obitem purpurą zasiadł na tronie Zygmunt, twarz pełna, bezchmurna a poważna; tuż przed nim klęczy w stroju rycerskim Albrecht, za nim stoją dwaj jego bracia Kazimierz i Jerzy, a przy królu Zygmunt August, jako młode pachołę zostające pod opieką późniejszego swego ochmistrza Opalińskiego.

Za tronem królewskim są ugrupowani najznakomitsi mężowie owego czasu, a więc rycerski H.

Łaski i stryj jego arcybiskup Łaski, który pragnął Krzyżaków przenieść za Dniepr, celem obrony granic od Tatarów; rotę przysięgi czyta zwolennik hołdu, biskup podkanclerzy Piotr Tomicki; sztandar królewski trzyma młody i dzielny Andrzej Tenczyński, który tak tragicznie zakończył życie „obróciwszy swe serce ku Bonarównie”, a obok niego stoi Jan Bonar, wielkorządzca zamku. Mamy tu dalej lichego charakteru Krzysztofa Szydłowieckiego i dzielnych jak M. Firleja, Gasztolda i Myszkowskiego.

Lewa strona obrazu nęci widza dumną a strojną Boną, której coś szepcze dama dworska, dalej Zofia Mazowiecka, Anna i Janusz. Przed heroldami stoi magnat, pan olbrzymiej fortuny i niezwykłej fantazyi Ostrogski, obok Jan Tarnowski, a niżej Piotr Kmita i bogato ubrany Kościelecki. Tę stronę obrazu zamykają dwaj mieszczanie, z których Berecci nosi rysy Matejki.

Pomijamy tu wiele postaci, jak Hejdeka, Ferbera, Kreuzera i innych, a zwracamy się ku dolnej części prawej strony „Hołdu”. Tu mamy dla nas najsympatyczniejszą postać „Stańczyka”, prawdziwego bohatera obrazu, ku któremu wszyscy widzowie zwracają się i na wskroś poetycznego rycerza kresów Przecława Lanckorońskiego.

Dotychczas Matejko przeważnie wybierał temata walki i zapasów chlubnych lub bolesnych dla nas, a prócz „Unii” nie mamy w cyklu jego utworów historycznych żadnego obrazu, któryby jednoczył w sobie spokój i powagę majestatu z moralnem zwycięztwem Polski nad wojowniczym, lecz już zgangrenowanym krzyżactwem.

W tym obrazie podały sobie bratnie dłonie wykwintna cywilizacya zachodu, którą ówczesna Polska była przejętą, z siłą i powagą rozległej i uznawanej potęgi państwowej. Obok pysznych strojów i bajecznego bogactwa widzimy rycerskość i ducha wojowniczego w tych pięknych postaciach jak: Lanckorońskiego, Firleja, Ostrogskiego i innych. A wszystko to pędzel artysty połączył w tak udatną całość, że dość spojrzéć na obraz każdemu, chociażby nieobznajmionemu z dziejami, aby zrozumiał tę wielką chwilę tryumfu, aby uczuł żywsze bicie serca.

Nic też dziwnego, że do obrazu tego nie ustaje pielgrzymka widzów.

Być może, że zdanie specyalnych znawców jest słuszne i sprawiedliwe, że perspektywa lewej strony obrazu szwankuje na punkcie Sukiennic i umieszczonych tam osób, że postacie dwóch braci Albrechta nie odpowiadają uroczystemu nastrojowi chwili, że raczej gimnastyków zręcznych aniżeli książąt przypominają, że wreszcie prawa strona jest przepełnioną niepomiernie — przypuśćmy że te uwagi specyalistów są prawdziwe, to jednak, każda poszczególna postać, ma tak wiele rysów charakterystycznych, jest sobą, na wskroś oryginalną, że starczyłaby nietylko na uznanie, lecz na oddanie najwyższej pochwały. Zaś całość robi tak imponujące wrażenie pod każdym względem i budzi tak szlachetne uczucia, że owe usterki są zaledwie dostrzegalne.

Tuż obok pomieszczona „Bitwa pod Grünwaldem” Matejki wywołuje przygnębiające wrażenie, gdyż bądź, co bądź, jest to zwycięztwo brutalnej siły, nad wyższą cywilizacyjną siłą, reprezentowaną przez krzyżaków. Tu w „Hołdzie” wychodzi Polska również zwycięzką, lecz jakże różną jest od „Grünwaldu”, tu widać wyższość moralną i cywilizacyjną, tu powaga łączy się z nauką, etyka z wykwintnością, płynącą z wykształcenia i samowiedzy umysłowej. A i Niemcy są inni, nie są wstrętni ani o piętnie niewolniczem, a jednak łatwo spostrzedz, że tacy jak Albrecht i jego bracia, tacy Ferberzy i Kreuzerzy muszą uchylić czoła przed majestatem Rzeczypospolitej. Ta miara artystyczna w przedstawieniu dwu nieprzyjaznych sobie narodów wywołuje uczucie harmonii i spokoju, któremu chętnie widz ulega. A cóż dopiero mówić o tych śpiżowych postaciach Tarnowskiego, Ostrogskiego, Firleja, Łaskich i t. d.

W pobieżnym artykule nie możemy szerzej dotykać tej sprawy i podnosić znaczenia „Hołdu”, musimy poprzestać li na wskazówce i to pobieżnej.

Zwracamy się więc do estetycznej strony obrazu i weźmiemy pod uwagę jedynie Zygmunta, Stańczyka i Lanckorońskiego.

Zygmunt w pontyfikalnej uroczej szacie królewskiej siedzi na tronie, a Matejko wiedziony intuicyą artystyczną nadał mu rysy niemal cezarów rzymskich. Jest to twarz spokojna, beznamiętna, pełna powagi majestatu, która mówi do widza: jestem wielki, potężny, spoczywam na laurach, niechaj mi nikt spoczynku nie przerywa! Nie ma w tej twarzy energii, bohaterstwa, upojenia zwycięzkiego, jest tylko marmurowy spokój i majestat królewski.

A czyż nie był takim na onczas Zygmunt, gdy dla miłego spokoju pozwalał na odrodzenie się i zgermanizowanie Prus!

Jakżeż różną jest postać Albrechta! Zakuty w zbroję rycerską, o twarzy pooranej zmarszczkami, z której widnieje energia i siła, pełny zarost nadaje mu wyraz żołnierski, surowość mnicha łączy się tu z dumą księcia, a jeśli ukląkł i składa hołd, to nic nie utracił ze swej godności ani z dumy.

Stańczyk! Któż go nie zna? Jest to ulubiona postać mistrza Matejki, malowana przez niego kilka razy, a zawsze najsympatyczniej widziana. Być może, że to powodzenie i umiłowanie Stańczyka spoczywa w tem, że reprezentuje nam nasz wiek XIX, wiek analizy i rozumu. On w obrazach Matejki a przedewszystkiem w „Hołdzie” przedstawia nam człowieka, dla którego teraźniejszość jest godziną przyszłości! Odwrócony od aktu uroczystego, zamyślił się głęboko i zdaje się, że przed jego rozumnem okiem przesunęły się wszystkie obrazy przyszłych czasów; to też posmutniał i ironicznie uśmiecha się z chwilowego tryumfu i blasku. Przebiegłszy okiem wszystkie te pyszne postacie grupujące się około tronu, musimy najdłużej popatrzéć na Stańczyka i mimowolnie odczuć smutek, którym go tak hojnie obdarzył Matejko!

Niedaleko Stańczyka imponuje swą niezwykłością wybitna postać Przecława Lanckorońskiego, który w pełnej zbroi siedzi na karym koniu. Jest to ów „lach serdeczny” za którym płakała wszerz i wzdłuż cała Ukraina — to ten dzielny kozak z 1509 roku, który bronił Ruś od Tatarów. Na obrazie Matejki Lanckoroński to istny duch stepowy, który rzucił kresy i kurhany, by później zaświadczyć nad Dnieprem o zwycięztwie nad Bałtykiem. Ileż w nim siły, grozy i poezyi, w nim uosobił Matejko tę dzielność szlachecką, która zrobiła z Polski przedmurze chrześciaństwa.

Całość obrazu tak artystycznem ugrupowaniem, znakomitym kolorytem, jako też znanem mistrzostwem charakterystyki i świetnością barw — robi wrażenie skończonego arcydzieła.

Augur.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Ogólna drożyzna trapi ludność Warszawy; drogie jest mięso, chleb, nabiał, cukier, drogie nadzwyczaj lokale, ale dotąd biedacy tem przynajmniej pocieszać się mogli, iż gdy raz zakończą smutną ziemską wędrówkę, będą mogli spocząć stosunkowo dość tanio, w ciasnej mogiłce na cmentarzu. Magistrat i tej ostaniej pozbawia ich pociechy. Wychodząc z zasady ogólnego podniesienia się cen tak wszelakich materyałów jakoteż ziemi cmentarnej na groby — nałożył podatek na tych co pamięć ukochanych zmarłych pragną uczcić nagrobkiem, *chociażby już uiścili opłatę za wieczystą własność gruntu na mogiłę*. Podobno projekt ten został już przedstawiony do wyższej władzy. Nie mielibyśmy nic przeciw podniesieniu opłaty za *paradne* karawany, wreszcie za wybór miejsca na mogiłę, ale nakładanie podatku za postawienie nagrobka na *własnej swojej* bo już na wieczyste zapłaconej ziemi, w żaden sposób usprawiedliwić się nie da. Przywiązanie do ukochanych zmarłych nie kończy się z ich życiem, i tak ono jak religijne jakieś poczucie, domaga się abyśmy mogiły ich choć najskromniejszym uczcili pomnikiem; ileż to osób długo odmawiać sobie musi nieraz najpierwszych potrzeb aby się z tego świętego uiścić obowiązku! Jakże więc można nakładać podatek na serca i uczucia, niechżeby przynajmniej oznaczono cenę nagrobków podlegających opłacie, żeby podatek obciążał tylko zamożniejszych.

*** „Kuryer Warszawski” otrzymał list od p. Stefana Rogozińskiego z Paryża z dnia 9 b. m. donoszący o nowych przeszkodach jakie wyprawie afrykańskiej stanęły na przeszkodzie, właśnie w chwili gdy miał nadzieję że niezadługo będzie mógł odpłynąć. Tym razem główną przeszkodę stanowił brak funduszów. Na towarzyszących wyprawie zapisało się czterech Włochów „jako uczeni specyaliści”, okazało się jednak, że byli to poprostu ajenci domu handlowego „Rabattio i Rocca” z Neapolu, wysłani z tajnemi instrukcyami, tak więc zamiast być pomocą byliby tylko przeszkodą. Zostali więc niezwłocznie odsunięci od udziału w wyprawie, ale zarazem ze szczupłych funduszów ubyło 26,000 fr. które wnieść mieli. Jakby jednak dla zrównania tych nieprzewidzianych przeszkód, wyprawa spotyka nowe współczucie i poparcie u wielu wpływowych osób. Znakomity szwedzki podróżnik Nordenskjöld, zaszczycił p. Rogozińskiego własnoręcznym listem, pełnym uznania dla śmiałego przedsięwzięcia naszego rodaka. Oskar król szwedzki nadesłał pomoc materyalną, która w części pokryła straty, a Nordenskjöld dodał p. R. do pomocy byłego swego towarzysza, kapitana Eena, którego miasto Sztokholm suto zaopatrzyło na drogę. Ambasador portugalski w Paryżu oznajmił p. Rogozińskiemu iż rząd portugalski polecił wszystkim władzom swoim w koloniach afrykańskich, aby wyprawie wszelkiej udzielały pomocy i opieki. Rząd portugalski żywo zajmuje się kwestyą zbadania jezior

Liba, których istnienie wydaje się prawdopodobniejszem. Za pośrednictwem p. Leona Say p. Rogoziński zapoznał się z panem de Brazza, który udzielił mu nader cennych rad i wskazówek co do jego wyprawy. Znany ten badacz stałego lądu afrykańskiego, świeżo powrócił z Afryki. Na dworcu kolei powitany został przez ministra marynarki francuzkiej, przez p. Ferdynanda Lessepsa i liczne grono ciekawych. W czasie ostatniej wyprawy p. de Brazza odkrył połączenie rzeki Kongo z Gabonen.

Tak więc energiczny i wytrwały inicyator polskiej wyprawy do wnętrza Afryki, niezłomną wolą zwalcza wszelkie przeszkody; obecnie brakuje mu już tylko 6,000 fr. (około 2,500 rs.), jeźli więc nie zajdzie nowa jakaś nieprzewidziana trudność, „Łucya-Małgorzata" z flagą miasta Warszawy, powiewającą u głównego masztu, najdalej za kilka tygodni rozwinie żagle i wypłynie z Hawru.

*** Według kalendarzyka wydanego w Paryżu na r. b. znajduje się w Paryżu 16 zakładów i stowarzyszeń polskich. Zakłady dobroczynne są następujące: 1) Towarzystwo dobroczynności dam polskich; przewodnicząca Iza z ks. Czartoryskich hr. Działyńska. Towarzystwo to udziela bezpłatną pomoc lekarską i lekarstwa, oraz bilety na chleb i mięso. 2) Dom św. Kazimierza (prezes ks. Władysław Czartoryski) gdzie znajduje utrzymanie 30 starców i 75 dziewcząt pobierających tamże nauki. 3) Filja tegoż zakładu w Ivry, w której przygotowuje się do szkół 45 chłopców. 4) Instytucya czci i chleba, rozdająca stypendya i emerytury, podtrzymująca głównie dom św. Kazimierza. 5) Stowarzyszenie pomocy naukowej. Oprócz tych zakładów dobroczynnych są jeszcze w Paryżu: 6) Towarzystwo nauk ścisłych, którego przyszłość nie jest jeszcze zapewniona skutkiem śmierci ś. p. Jana hr. Działyńskiego. 7) Szkoła polska w Batignolles. 8) Instytut panien polskich utrzymywany kosztem Izy hr. Działyńskiej. 9) Czytelnia polska. 10) Towarzystwo fisharmoniczne. 11) Stowarzyszenie b. uczni szkoły Batignolles. 12) Stowarzyszenie b. uczenic instytutu panien. 13) Stowarzyszenie robotników polskich. Nakoniec znajduje się w Paryżu: 14) Kościół polski pod zarządem ks. Władysława Witkowskiego, przełożonego missyi. 15) Księgarnia polska Władysława Mickiewicza, syna poety. 16) Drukarnia polska p. Adryanny Zabierzyny, wydawczyni wyż wspomnianego „Kalendarzyka".

*** W olbrzymiem przedsiębierstwie budowy kanału morskiego, prowadzącego z Hawru do Paryża, oraz utworzenia pod Paryżem wielkiego portu morskiego, młody, zaledwie 27 lat liczący rodak nasz, Jan Kozłowski, inżynier z Wielkopolski zajął wybitne stanowisko członka rady głównej.

*** Koloman Thaly, odkrył w archiwum presburskiem obszerne materyały do dziejów dawnej Polski, odnoszące się przeważnie do XIV i XV wieku. Jednocześnie w zbiorach rodziny Esterhazy-Szesnek, znaleziono wiele bardzo autografów z XVIII wieku.

*** Jeden z członków ciała prawodawczego w Albany, wniósł projekt do prawa, który złośliwi uważają za straszny cios dla emancypacyi kobiet w Ameryce. Wnosi on mianowicie aby prawo głosowania przysługiwało kobietom na równi z mężczyznami — z tem jednak zastrzeżeniem: że z głosu tego korzystać będą mogły dopiero po ukończeniu *pięćdziesiątego* roku życia. „New-York Herald", rozbierając ten projekt, czyni następujące uwagi: „Zapewnie i niższa granica wieku byłaby już dostateczną. Być może iż w Stanie nowoyorskim znajdują się damy liczące przeszło 50 lat wieku — ale tego z własnych ich ust nie słyszało dotąd ucho żadnego śmiertelnika. Jeźli więc prawodawca mniema iż mający się ustanowić inspektorowie wyborów, zdołają wydobyć od kandydatek do głosowania jakieś przyznanie się do wymaganej kwalifikacyi wieku, to — przypuszczenie takie należy uważać za grubą pomyłkę prawodawczą."

Jaki niegrzeczny ten „New-York-Herald"!

*** W Stanie Nowo-Yorskim od 1 maja r. b. obowiązuje prawo zabraniające przeklinania pod karą pieniężną. Liczą na to, że przy ścisłem jej wykonywaniu, dług miejski zostanie spłaconym w ciągu jednego roku. Niebyśmy nie mieli przeciw zaprowadzeniu i w innych miejscowościach takiego podatku, a mógłby z niego powstać niezawodnie nie jeden zakład użyteczności publicznej.

*** Telefon znajduje coraz nowe zastosowanie. Obecnie, uczony francuzki p. Dufornet zastosował go do przepowiadania pogody. Ustawił w swoim ogrodzie dwa słupy żelazne, w odległości dziesięciu metrów jeden od drugiego, zapuszczone w ziemię na głębokość studni. Na wierzchu każdego słupa przymocował izolowany drut przewodni, a końce tych drutów połączył z telefonem. Gdy tylko zanosi się na deszcz, tarcza telefonowa zaczyna drgać, wydając charakterystycznie przerywany dźwięk, nakształt grania trąbki.

Dźwięk ten staje się silniejszym w miarę zbliżania się burzy, a każdą błyskawicę poprzedza dźwięk jakby uderzenia w aparat. Każda zmiana temperatury jakoteż inne zjawiska pogody oznajmione są dźwiękami, które p. Dufornet nazywa, „ptasiemi głosami". Wyjaśnienia tego zjawiska zdaje się należy szukać w ruchach i drganiach powierzchni ziemi, wywołanych każdą zmianą temperatury, na których ujęcie nie wystarczają ludzkie zmysły.

*** Czytamy w N-rze 10 „Wszechświata". Pan Maumené złożył w Akademii francuzkiej opieczętowaną kopertę, w której ma się znajdować opis bardzo prostego sposobu sztucznego otrzymywania chininy. P. Maumené bada obecnie fizyologiczne działanie swego preparatu, w celu porównania go z chininą wydobywaną z kory drzew chinowych.

Jeźli odkrycie to nie jest złudzeniem, stanie się jedną z najważniejszych zdobyczy nauk owych naszych czasów, albowiem chinina należy do związków organicznych, o których sztuczne otrzymanie daremnie starało się jak najusilniej bardzo wielu chemików. Jest ona typową zasadą organiczną naturalną (alkaloidem), a ścisłe jej zbadanie jak wogóle alkaloidów, byłoby niezmiernie ważnym przyczynkiem do znajomości spraw chemicznych, organizmów roślinnych wytwarzających te ciała. Oprócz tego jako środek lekarski pierwszorzędnego znaczenia, chinina stanowi ciało niezmiernie ważne pod względem praktycznym. Nadto, spodziewać się można, że chinina otrzymywana sztucznie łatwym podobno sposobem, byłaby daleko tańszą od dziś używanej naturalnej, na którą zwłaszcza panowie aptekarze bajeczne nakładają ceny.

Zawiadomienia.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami oraz dod. nadzwyczajny.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 9 Іюня 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

LABIRYNT.
(Within The Maze.)

Przez
MISTRES H. WOOD.

(Dalszy ciąg.)

— Ach! jak ty mnie nudzisz!

— Możeszże tak mówić, Adamie?

— Ale bo, doprawdy, nieznośny jesteś! Kiedyż to potrzebowałem wzywać pomocy lekarskiej? jestem zdrów i silny jak koń.

— Gdy byliśmy dziećmi, powtarzano zawsze iż choć z pozoru można by sądzić inaczej, jednak ja dwa razy silniejszy byłem od ciebie.

— Niestworzone brednie! powtarzane na wiatr! odrzekł obojętnie Adam. Przypominam sobie że to ojciec nasz lubił prawić te banialuki. Wszystkie te oklepane komunały o dziedziczności konstytucyi naszej, niczego nie dowodzą; ojciec nie był zbyt silny, a ja jestem mocny i silnie zbudowany. O ileż to tęższy i mocniejszy jestem od ciebie!

Karol nie nic odpowiedział, wiedząc że dalsza rozprawa z Adamem nie doprowadziłaby do niczego. Po chwilce dopiero rzekł zmieniając przedmiot rozmowy.

— Czy pomyślałeś o tem, Adamie, że i żona twoja potrzebować będzie pomocy doktora — ale co do tego wielka zachodzi różnica. Ponieważ mniemają wszyscy że sama dom ten zamieszkuje, więc ukryjesz się tylko starannie podczas wizyt doktora... Inna rzecz co do ciebie — myśl ta dręczy mnie nieustannie...

— Mój stary! że też nie możesz oduczyć się tego nieszczęsnego kłopotania się przed czasem — najczęściej bezpotrzebnie. Co do mnie nie troszczę się żadnemi zadaniami nie domagającemi się natychmiastowego rozwiązania. Najmędrsza to zasada.

— Nie zawsze, odrzekł Karol. Co do ciebie, Adamie, wszystko przekonywa iż powinieneś jak najśpieszniej opuścić Labirynt.

— Wcale o tem nie myślę.

— Już samo pojawienie się wówczas policyi, odgłos ich miarowych kroków, przejął mnie niewysłowionym strachem... Przypuśćmy gdyby tak przyszli aresztować ciebie, jakaż siła ludzka zdołałaby cię obronić?

— Wiesz przecie dobrze iż wcale nie myśleli o mnie; przenosili zwłoki biedaka zmarłego nagle na moim gruncie. Był to więc prosty wypadek, jakiego przecie nigdzie uniknąć niepodobna.

— Tu jednak trudniej jak gdziekolwiek indziej. Daleko byłbyś bezpieczniejszym gdzieś za granicą — nigdzie nie jesteś tak wystawionym na niebezpieczeństwo, jak w Labiryncie.

— Zapewnie iż gdyby mnie przeniesiono gdzieś dalej — choćby na jaką niedostępną wyspę na morzach lodowatych—byłbym o tyle bezpieczniejszym iż policya angielska nie zdołałaby mnie pochwycić w swe szpony — ale z drugiej strony ucieczka ztąd narażałaby mnie na tysiączne niebezpieczeństwa, jakich tu uniknąć mogę — ani myślę więc wystawiać się na nie dobrowolnie.

Karol milczał chwilę. Adam siedział przy lampie przyćmionej zasłonką, przerzucając karty jakiegoś *Dziennika Illustrowanego* który Róża przywiozła mu z Londynu.

— Jakim sposobem poznałeś się ze Smith'em Adamie? zapytał.

— Jakim sposobem? jeżli mam powiedzieć prawdę, jemu to zawdzięczam moje ocalenie. Gdyby nie dał mi schronienia przez cały wiadomy ci czas, nie byłbym teraz wolnym, a najpewniej nie żyłbym już nawet. Przedtem zupełnie go nie znałem.

— I za to ocalenie ci życia, ciągle każe ci się opłacać i wyłudza pieniądze?

— Nie można mu tego tak bardzo mieć za złe, odrzekł z uśmiechem Adam.

— Przekonany jestem że on to przykuwa cię do Labiryntu, a ty słuchasz każdego jego skinienia.

— No, rozumiem przecie, że czuwając nad mojem bezpieczeństwem, strzeże także swego interesu.

— Otóż wypowiedziałeś rzeczywisty powód jego troskliwości. Woli cię trzymać tu narażonego na rozliczne niebezpieczeństwa, niż dozwolić abyś się oddalił i odzyskując swobodę z rąk mu się wyślizgnął. Czy znasz choć cokolwiek jego przeszłość?

— Nie znam najzupełniej, i tak nic nie umiałbym ci powiedzieć czem był i co robił do owej nocy w której przybył mi na pomoc, jak gdyby w tej chwili spadł z księżyca.

— I od owej chwili, Adamie, stosujesz się do wszelkich jego wymagań?

— Cóż mam robić? Posiada moją tajemnicę, wie kto jestem, a to dozwala mu trzymać nieustannie zawieszoną nad moją głową jakby szpadę Damoklesa. Jakże nie mam się starać aby nie spadła na nią?

Karol westchnął ciężko; widział położenie tak strasznie zawikłane i nie wiedział sposobu wyjścia z niego. Gdyby przynajmniej mógł być pewnym że Labirynt jest bezpiecznem dla brata schronieniem, nie dręczyłby się tak nieustannie, ale głos wewnętrzny szeptał mu że grozi mu tu największe niebezpieczeństwo.

— Ach! bodajbyś był nigdy nie przestąpił progów tego nieszczęsnego domu! zawołał mimowolnie miotany niewysłowionym niepokojem.

Adam rzucił trzymany w ręku dziennik i prędko odwrócił się do brata siedzącego w fotelu nieco opodal. Twarz jego pałała, gniew przebijał w głosie.

— Karolu, zawołał, czy próbowałeś też kiedy przedstawić sobie w całej rozciągłości bezmierną zgrozę mego położenia na wyspie Portland? Ja, gentlemen, i co za tem idzie, mający odpowiednie nawyknienia... ja, dla którego wolność i swoboda umysłu stanowiły, że tak powiem, główną podstawę i istotę życia, zostałem okuty w kajdany i skazany na więzienie do końca życia... I musiałem przebywać ze zbrodniarzami i fałszerzami, i wytykano mnie palcami jako galernika... Powiesz może iż i ja dopuściłem się zbrodni — nie, nigdy tego nie przyznam! Nie popełniłem żadnego hańbiącego czynu; miałem najzupełniejsze prawo strzelić do tego Scot'a, skoro lekceważył sobie przestrogę jaką mu dałem. Przypomnij sobie że wówczas już nie młodą naszą sąsiadkę, Różę Turner, ale znieważył *żonę moją*, choć świat nie wiedział o tem... Pomyśl tylko, Karolu, coby się z tobą stało, gdyby nędznik jakiś pochwycił żonę twoją i w twojej obecności okrywał niecnemi swemi pocałunkami niewinną jej twarzyczkę. Przysiągłbym że zarówno jak mnie krew uderzyłaby ci do głowy...

— Wierzaj mi, Adamie, iż od chwili w której dowiedziałem się że Róża była już wtedy żoną twoją, miałem cię prawie za zupełnie usprawiedliwionego.

— Lecz czy możesz wyobrazić sobie choćby dziesiątą część męczarni jakie przechodziłem na wyspie Portland?

— Stały mi one nieustannie w myśli i na oczach we dnie i w nocy, od twego tam uwięzienia, aż do czasu gdy dowiedziałem się o mniemanej śmierci twojej.

— Wierzę temu, kochany Karolu, zawsze miałeś dobre i tkliwe serce. Kochaliśmy się od dzieciństwa i zawsze otaczaliśmy się wzajemną troskliwością.

— I tak jest po dziś dzień.

— Porównaj że teraz, stary mój towarzyszu, życie jakie wiodłem w więzieniu, z obecnem mojem położeniem. Tu jestem, że tak powiem, całkiem niezależny; używam zupełnej wolności w granicach Labiryntu, mam obok siebie ukochaną żonę, mam dom i stół urządzony według mego upodobania; żyję w mojej posiadłości, dzieląc się z tobą dochodami abyś mógł w obec świata godnie przedstawiać baroneta i utrzymywać się w Foxwood odpowiednio zajmowanemu stanowisku. Tak więc, Karolu, w położeniu na jakie los mnie skazał, nigdzie nie mógłbym spodziewać się lepszej doli.

— Tak, to prawda... lecz czy zawsze tak będzie? niebezpieczeństwo grozi ciągle.

— Dla mnie istnieje ono wszędzie.

— Proszę cię, Adamie, odpowiedz mi tak szczerze jakby samemu sobie. Gdyby cudem jakim można przenieść cię bezpiecznie do jakiegoś odda lonego kraju — czy nie byłbyś spokojniejszym i swobodniejszym niż tu?

— Niewątpliwie, i gdyby opuszczenie Labiryntu było możebnem, uczyniłbym to już przez wzgląd na Różę, która podziela twoje obawy. Ale, niestety! jest to zupełnem niepodobieństwem. Czuję iż Smith ma słuszność dowodząc że nie powinienem nawet myśleć o wyjeździe ztąd—bezpieczeństwo moje leży w jego interesie — a nie wątpię iż rzeczywiście najmocniej jest przekonany że Labirynt jest najlepszem dla mnie schronieniem.

— Nie myliłem się że Smith stanowi główną przeszkodę do twego wyjazdu.

— Cóż robić! wiesz dobrze iż jestem w jego mocy, muszę tańczyć jak zaśpiewa, tem więcej iż i sam podzielam jego zdanie... A potem, o zerwaniu z nim ani mowy być nie może... O nieba! miałżebym znów w kajdanach powracać do Portland!.. Ale nie! nigdy to nastąpićby nie mogło, rzekł spokojniejszym już głosem, bo nigdy nie dałbym teraz pojmać się żywcem — albo ja padłbym trupem, albo ci coby mnie przyszli aresztować!...

Powiedziawszy to włożył rękę do kieszeni i pokazał Karolowi nabity pistolet, który dzień i noc miał przy sobie.

Biedny Karol nie zdołał zmienić postanowienia brata, ani zachwiać postanowienia żony — znajdował się między młotem a kowadłem.

Cała ta rozmowa z Adamem, zarówno jak poprzednie, przeszła bezowocnie.

Gdy wychodził, czarne chmury nagromadziły się nad horyzontem, grożąc wielką burzą — wydawały mu się jednak nie tak straszne i ponure jak niepokój i smutne przeczucia miotające jego sercem. Jakże chętnie oddałby życie, gdyby ceną jego mógł okupić bezpieczeństwo i spokój brata.

KONIEC TOMU I-go.

LABIRYNT.

(Within The Maze.)

Przez

Mistres H. Wood.

TOM II.

I.

W Labiryncie.

Poprzedniego dnia wieczorem padał deszcz ulewny, nazajutrz poranek był chłodniejszy jak zwykle, ale niebo wypogodziło się już zupełnie, a słońce rzucało dokoła złociste swe światło.

Łucya zeszła na dół bledsza jeszcze jak zwykle; moralne cierpienia które przeszła tej nocy pozostawiły po sobie widoczne ślady. Zadawała sobie pytanie: czy długo jeszcze potrafi nosić tę maskę wesołości, którą i dziś musiała włożyć koniecznie, i czuła że tak teraz jak nadal Bóg tylko jeden może jej dodać sił odpowiednich. Karol, którego zastała już w sali jadalnej, pospieszył naprzeciwko niej i uścisnął jej rękę. W obec świadków byłby powtrzymał się od powitania dowodzącego że się dziś jeszcze nie widzieli.

— Jakże się masz, Łucyo?

— Dziękuję, zupełnie dobrze. Słyszałeś zapewnie grzmoty?

— Tak; powietrze ochłodziło się trochę po wczorajszej burzy, śliczny dzień będziemy dziś mieli.

Państwo Lloyd mieli przybyć przed południem do Foxwood. Łucya, będąc na wystawie kwiatów, oznajmiła że niektóre z cieplarniowych roślin są mniej piękne od znajdujących się w Foxwood; jenerał i jedna z jego córek objawili chęć zobaczenia ich, na co lady Andinnian odpowiedziała uprzejmem zaproszeniem, i umówiono się że jenerał wraz z rodziną przepędzi następny dzień w Foxwood. Łucya uwiadomiła o tem męża w obecności kapitana Lamprey, ale obawiając się czy nie zapomniał, przypomniała mu to obecnie oczekując na śniadanie, gdyż miss Blake nie wróciła jeszcze z kaplicy.

— Wypadało mi zaprosić ich, rzekła. Sądzę że nie sprawiłam ci tem przykrości?

— Postąpiłaś bardzo właściwie, Łucyo, odpowiedział wesoło. Powitam ich z przyjemnością.

— Nie wiem ile będzie osób; może przyjadą wszyscy, wyjąwszy mistress Lloyd która nie wyjeżdża nigdy z domu. Chciałabym bardzo aby Teresa wyrzekła się swej kaplicy przez resztę dnia i dopomogła mi bawić gości.

— Jeżli sobie tego życzysz, rzekł Karol z uśmiechem, to mogę ci wskazać pewny sposób zatrzymania jej w domu: zaproś pana Cattacomb.

— Sądzę ze nie zrobiłoby ci to przyjemności?

— W istocie, żartowałem tylko.

Wejście miss Blake przerwało rozmowę.

Goście z Basham mieli przybyć wcześnie. Karol więc pospieszył na stacyę, a Łucya tymczasem przyozdabiała salon kwiatami. Pomimo swych ciężkich zmartwień, była dumną ze swego mieszkania, i starała się usilnie aby podobało się wszystkim.

Przechodząc koło domku rządcy, Karol spostrzegł pana Smith siedzącego przy otwartem oknie, z cygarem w ustach. Pragnął właśnie przypatrzyć mu się dobrze, i postanowił korzystać z tej sposobności pod pozorem że potrzebuje od niego pewnych objaśnień. Pan Smith wyszedł do sieni naprzeciwko niego, rzucając za okno na pół wypalone cygaro.

— Zapewnie ma pan plan gruntów na których mają być zbudowane nowe chaty? Czy nie mógłbyś mi dać ich do przejrzenia na parę godzin? Przyślę po nie trochę później Hewitt'a.

— Bezwątpienia, sir Karolu, są na twoje rozkazy. Może sir zechce spocząć chwilkę; bardzo miły wietrzyk wpada tu przez okno.

Karol usiadł. Zielone okulary pana Smith leżały na stoliku, nic mu więc nie przeszkadzało w jego spostrzeżeniach. Rządca kończył rozpoczętą rozmowę, nie domyślając się niczego.

— Tak, to są jego własne włosy, myślał Karol i tak jak mi mówili, bardzo ciemne, prawie czarne. W chwili ucieczki Salter nie nosił wcale zarostu, ale przypuszczali że teraz musi mieć brodę, faworyty i wąsy — i tak jest rzeczywiście. Grimley twierdził że brwi jego były bardzo gęste i silnie w łuk wygięte... te nie są zbyt gęste, i nie można ich nazwać łukowatemi; ale kto wie czy nie ma jakiego sposobu przeszkalcenia brwi?... Oczy ciemne. Cera świeża, rysy przyjemne. Tak. Wiek?... Tu zachodzi różnica: ten człowiek ma z pewnością czterdzieści lat. Czy to Salter czy nie Salter? zadał sobie pytanie Karol. Nie wiem doprawdy! Sądzę że on, jednak... może się mylę.

— Truefit, fermier, mówił ze mną wczoraj, sir Karolu, odezwał się Smith przerywając rozmyślania Karola. Pytał mi się czy sir i lady Andinnian nie mają nic przeciwko komedyi odgrywającej się już od pewnego czasu na jego gruncie.

— Więc jak widzę nie jest zadowolonym z tej kaplicy? rzekł Karol.

— O ile ze słów jego wnoszę, osobiście wszystko mu jedno czy nabożeństwo odprawia się w ten lub inny sposób, ale zdaje się że połowica jego, mistress Truefit, pała najgłębszą nienawiścią do nowego kościoła, któremu nadaje najpogardliwsze nazwiska. Nie pojmuję doprawdy jak ten pan Cattacomb może mieć tak mało rozsądku! co za dziwaczny pomysł powiesić dzwonek zewnątrz, tuż nad drzwiami i dzwonić prawie ciągle.

— Tak, odpowiedział Karol, jest to bardzo śmieszny pomysł.

— Teraz jeszcze myślą o sprawieniu dla Toma Pepp, pełniącego obowiązki dzwonnika, jakiegoś ubrania, które ma kłaść na siebie idąc dzwonić. Zdaje mi się że właśnie ta ostatnia fantazya doprowadziła mistress Truefit do tak wielkiego oburzenia. Odpowiedziałem fermierowi, że o ile wiem, ani sir Karol ani lady Andinnian nie opiekują się bynajmniej tą kaplicą... że nie widziałem nigdy aby się tam udawali.

— I że nigdy nie zobaczysz pan tego, rzekł sir Karol wstając.

Nie potrzebował przedłużać wizyty; przypatrzył się już dobrze swemu rządcy, odszedł śpiesznie aby dość wcześnie przybyć do stacyi. W innem usposobieniu umysłu, więcej zapewnie rozdrażniłoby go to co słyszał o kaplicy, ale obecnie umysł jego był tak dalece zajęty ważniejszemi sprawami, ze nie zwracał uwagi na drobniejsze.

Pociąg nadszedł, przywożąc spodziewanych gości. Przybyło sześć osób: jenerał, kapitan Lloyd przybyły za urlopem, dwie miss Lloyd; zamężna ich

siostra mistress Panton z mężem, którzy także czasowo bawili u rodziców.

Karol okazał zadowolnienie i prawdopodobnie szczere, gdy dowiedział się że żona zaprosiła ich do siebie, ale nie przewidywał wtenczas jak przykrego kłopotu nabawi go ta wizyta. Doznał niewysłowionego zadziwienia i niepokoju, gdy goście jego wkrótce po przybyciu do Foxwood, wyrazili chęć zobaczenia miejsca zwanego Labiryntem, prosząc sir Karola aby ich tam zaprowadził.

— Wczoraj właśnie wspomniałem Panton'owi o Labiryncie, mówiąc z nim o Foxwood Court i jego okolicach, odezwał się jenerał. Panton nie chce wierzyć aby można było zabłądzić w Labiryncie, obiecałem mu więc że będzie mógł przekonać się o tem. Wszak, sir Karolu, ułatwisz mu sposobność odbycia tej próby?

— Nie... nie wiem czy będę mógł, odpowiedział Karol zmięszany, a jednocześnie szkarłatny rumieniec pokrył twarz jego żony. Zdaje mi się, jenerale, że niepodobna mi będzie spełnić twego życzenia. Mieszkająca tam osoba tak pragnie żyć spokojnie i zdala od ludzi, że nie śmiałbym zamącać jej spokoju. Sądzę że nie cieszy się zbyt silnem zdrowiem.

— Ale nie zamierzamy bynajmniej niepokoić tej pani, zawołali wszyscy chórem; pragniemy tylko zwiedzić Labirynt, sir Karolu, o dom nie chodzi nam wcale; jakże się nazywa jego lokatorka.

— Mistress Grey.

— A więc, mistress Grey może być pewną że nasza obecność nie sprawi jej żadnej przykrości. Czy mieszka tam sama?

— Tak, z powodu nieobecności jej męża. Jestem pewny że nie zechce wpuścić nas do siebie.

Słowa Karola obiły się o uszy jego gości jak gdyby rzucał groch na ścianę, obstawali przy swojem. Ma się rozumieć że nikt nie przypuszczał aby osobiście mógł mieć coś przeciwko temu, sądzono tylko że chce szanować ściśle wolę i prawa swej lokatorki. Jenerał oświadczył w końcu że gotów sam prosić mistress Grey o pozwolenie. Biedny Karol był, jak to mówią, przyciśnięty do muru; widział że na nic się nie zda płynąć przeciwko wodzie, i nie śmiał odmówić zbyt stanowczo, z obawy aby nie zbudzić podejrzenia że ma osobiste jakieś powody aby nikt obcy nie wchodził do Labiryntu. Uzbroiwszy się w odwagę, powiedział że zaprowadzi ich tam chętnie, ale pierwej musi napisać do mistress Grey, prosząc ją o pozwolenie. Przedstawił że grzeczność nie pozwala mu nawet postąpić inaczej, i wszyscy przyznali mu słuszność.

Napisał bilecik do misress Grey, i kazał Hewitt'owi, aby go odniósł natychmiast. Nie potrzebujemy mówić że Karol chciał tym sposobem ostrzedz mistress Grey, i uprzedzić brata aby się nie pokazywał. Hewitt przestraszył się bardziej jeszcze niż pan jego.

— Po co oni tam idą? zawołał stłumionym i drżącym głosem.

— Nie mogłem zabronić im tego. Śpiesz się Hewitt'cie.

W kilka minut później, Hewitt wrócił z odpowiedzią i w obec wszystkich oddał panu bilecik. Mistress Grey przesyłała ukłony sir Karolowi i pozwalała mu wejść do Labiryntu wraz z jego znajomymi. Całe towarzystwo udało się tam natychmiast, nie wyłączając... Łucyi.

Panie uważały za rzecz tak naturalną aby im towarzyszyła, że Łucya nie umiała się wymówić. Prócz tego, kto wie czy w głębi jej serca nie zbudziło się także pragnienie poznania miejsca w którem ukrywała się jej rywalka. Niepewna co ma czynić, spojrzała na Karola, który jednak nie dostrzegł jej wahania i spojrzenia, i nie okazał niczem że mógłby tam ktoś nie życzyć sobie jej obecności. Wprawdzie miss Blake wpatrywała się w nią z takim wyrazem, że Łucya się zarumieniła, ale to przypomniało jej tylko że nie powinna się ociągać.

Całe towarzystwo wyszło przez główną bramę; na pół drogi do Labiryntu spotkano pana Cattacomb. Miss Blake, nie upoważniona przez nikogo, prosiła go aby im towarzyszył, gdyż zamierzają zwiedzić miejsce słynne w całej okolicy, zwane Labiryntem, poczem przedstawiła go towarzystwu.

— Nie wiedziałem że znajduje się tu miejsce tak godne widzenia, rzekł pan Cattacomb.

— Bo też nie ma go rzeczywiście, odpowiedział zimno Karol, pragnący pozbyć się pana Cattacomb. Labirynt nie uchodził nigdy dotąd za jakieś ciekawe i godne widzenia miejsce. Co do mnie, muszę przyznać że wolałbym nie narzucać się tam z naszą obecnością. Chęć spełnienia życzeń moich gości i obawa sprawienia przykrości mieszkańce Labiryntu, stawiają mnie w kłopotliwem położeniu, dodał żartobliwym tonem, obawiając się czy nie dał poznać zbyt wyraźnie swego niepokoju i niezadowolnienia.

— Dowodzi to, sir Karolu, że jesteś wrażliwy jak Mimoza; rzekła miss Blake z wyrazem złośliwości.

Karol zadzwonił i wkrótce Anna Hopley ukazała się przy bramie, ukłoniła się grzecznie przybywającym, i wpuściła ich do Labiryntu.

— Pani moja kazała mi oznajmić, sir Karolu, że życzy sobie aby ci państwo pozostali tu dopóki tylko zechcą, rzekła głośno, tak aby ją wszyscy słyszeli. Przeprasza także iż nie przyjmuje ich tu sama, ale jest słaba i nie wychodzi wcale z pokoju.

— Wdzięczni jesteśmy mistress Grey za tyle uprzejmości, odpowiedział Karol.

Wszyscy rozbiegli się po labiryncie; stare drzewa dawno już nie słyszały tak wesołych wybuchów śmiechu: jeden biegł w tę drugi w inną stronę; możnaby sądzić że dostała się tam gromadka uczniów i pensyonarek korzystających z przerwy w naukach. Anna Hopley zamierzała oddalic się także od bramy, gdy dzwonek odezwał się znowu i po raz drugi musiała drzwi otworzyć. Karol obawiający się zawsze czegoś złego — co było bardzo naturalnem w jego położeniu — zwrócił ku bramie oczy rozmawiając z jenerałem i spostrzegł że jakiś policman rozmawia z Anną.

Serce jego podskoczyło gwałtownie, przerażenie nie dozwoliło mu zastanowić się na jakie wnioski może naprowadzić swem postępowaniem, i przerywając nagle rozmowę z jenerałem, pobiegł do bramy. Twarz jego była zwykle bladawa, ale obecnie pokryła się martwą bladością. Gdyby nie był tak przestraszonym, byłby się zastanowił nad tem, że jeden tylko policyant i to bez broni, nie przyszedłby dla zaaresztowania Adama, ale jak to Róża powiedziała mu w przeddzień wieczorem, przestrach pozbawia nas przytomności umysłu. Na domiar biedy, parę osób jeszcze zbliżyło się do bramy.

— Grey, wszak prawda? mówił policyant do Anny Hopley. Trzymał w ręku papier i ołówek.

— Mistress Grey, odpowiedziała Anna.

— Więc tu nie ma jej męża?

— Nie.

— Jakże imię mistress Grey?

Karol spojrzał znacząco na Annę, chcąc jej przypomnieć aby była ostrożną, chociaż rzeczywiście mógł śmiało spuścić się na nią, gdyż ta kobieta była uosobioną ostrożnością i nie traciła nigdy przytomności umysłu.

— Imię mojej pani jest Mary.

— Mistress Mary Grey, powtórzył policyant, pisząc to na kartce którą trzymał w ręku. Proszę oddać pani, dodał podając papier, trzeba żeby to przeczytała.

— Wszystkie papiery dotyczące podatków powinny być odnoszone do Foxwood-Court, odezwał się Karol. Mistress Grey wynajęła dom umeblowany, a więc wolną jest do wszelkich podatków.

— Przepraszam, sir Karolu, ale jest to kartka służąca do zapisania głosu na opiekuna ubogich w tej miejscowości, odpowiedział policyant z ukłonem.

— O! to co innego, w takim razie można zostawić tę kartkę, rzekł sir Karol, już zupełnie uspokojony.

Był to także interes nie obchodzący bynajmniej mistress Grey, ale Karol nie zwrócił na to uwagi.

Teraz już wszyscy weszli do Labiryntu, i nie spostrzegli się nawet kiedy Anna Hopley zniknęła im z oczu. Niedowierzający Panton zaczął przebiegać uliczki labiryntu, szedł to prosto przed siebie, to krążył w koło, to zwracał się na prawo lub na lewo, a w końcu wracał zawsze na toż samo miejsce od ktorego rozpoczął swoją pielgrzymkę.

— Jakże tu ślicznie, sir Karolu! zawołała mistress Panton. Możnaby sądzić że znajdujemy się w gaju pięknej Rozamundy!

Sir Karol odpowiedział tylko uśmiechem, i co bardzo zadziwiło i oburzyło miss Blake, na twarzy jego nie było nawet śladu zawstydzenia, gdy przeciwnie twarz Łucyi pokryła się silnym rumieńcem.

— Wszak to za pomocą kłębka jedwabiu, królowa Eleonora zdołała trafić do swej rywalki? mówiła dalej mistress Panton. Jakaż to okrutna kobieta! Wyobrażam ją sobie snującą ręką jedną nić jedwabiu, a w drugiej trzymającą zatruty napój.

— Co do mnie, chciałabym wiedzieć czy ta kobieta która zniweczyła szczęście królowej, przewidywała jaki los ją czeka w przyszłości? odezwała się ostrym i uszczypliwym tonem miss Blake — gdyż przyszło jej na myśl że o kilkadziesiąt kroków od niej ukrywa się także podobna Rozamunda. Miejmy nadzieję że tak było, bo przewinienia jej zasługiwały na podobną karę!

— Ale, według podania, ta biedna istota miała być tak zachwycającą, że trudno nie litować się nad nią. Wszak prawda lady Andinnian?

— Nie umiem na to odpowiedzieć, odrzekła Łucya, z wyrazem takiego rozdrażnienia, że Karol spojrzał na nią z zadziwieniem.

— Według mego zdania, połowa trucizny należała się królowi, oddezwała się znów Teresa, kara byłaby wtenczas zupełnie sprawiedliwą.

— Ja zaś nie zgadzam się z panią, powiedziała mistress Panton, i wyznaję że piękna Rozamunda budzi we mnie współczucie. Szalone uniesienie królowej wydaje mi się naturalnem, tem więcej że, jak sądzę, w owych czasach, często pozbywano się nieprzyjaciół za pomocą trucizny, nie uważając tego za zbrodnię; ale pomimo to żałuję zawsze że królowa nie zabłądziła w labiryncie, lub nie upuściła czary z trucizną.

— Ale czy my w tym nie zabłądzimy?

Te słowa, nacechowane pewnym niepokojem, wyszły z ust miss Lloyd, i sprawiły to że wszyscy zatrzymali się nagle.

— Wątpię aby to mogło nastąpić, rzekł jenerał. Zapewnie znasz drogę, sir Karolu?

— Ha! jeźli zabłądzimy, to będziemy krzyczeć wszyscy razem, dopóki nas ktoś nie wyprowadzi odpowiedział wymijająco Karol.

— Ale musi tu być przecie jakaś nić przewodnia, według której trzeba się kierować? Musisz ją znać sir Karolu?

— Nie, jenerale, nie miałem sposobności dowiedzieć się tego; Labirynt był już zamieszkany gdy przybyłem w te strony, ale możesz być spokojnym, nie zabłądzimy.

Jakże Łucya była oburzona tem jego kłamstwem! Była pewną że zna doskonale drogę, skoro wchodził tam sam otwierając sobie furtkę i szedł dalej nie potrzebując przewodnika.

Zapewnienie Karola uspokoiło wszystkich, rozbiegli się znów po Labiryncie, i błądząc po nim jak niegdyś miss Blake. Pan Cattacomb dopytywał się ciągle o mieszkankę Labiryntu: dla czego żyje sama w tem samotnem miejscu?... gdzie był jej mąż?... a sir Karol miał wielką ochotę wyrzucić go za bramę. Pragnął zatrzymać całe towarzystwo w pewnej odległości od domu mieszkalnego, ale był jeden przeciwko dziewięciu, i każdy szedł gdzie mu się podobało. Nakoniec po długiem błąkaniu się pomiędzy drzewami, goście Karola znaleźli się niespodziewanie naprzeciwko domu.

— A! jakiż to śliczny domek! zawołali jednozgodnie.

Tak, był rzeczywiście śliczny i wesoły. Okna były pootwierane, drzwi także otwarte zdawały się zapraszać do wnętrza domu, słowem nie było w nim nic tajemniczego.

Dotąd wszystko szło szczęśliwie i Karol mógł być zupełnie zadowolnionym, ale gdy teraz spojrzał koło siebie, chcąc przekonać się czy i nadal wszystko pójdzie tak pomyślnie, musiał zapewnie dostrzedz gdzieś swego nierozważnego brata, bo twarz jego pokryła się nagle śmiertelną bladością i zaledwie zdołał powstrzymać okrzyk przerażenia.

— Adam musiał stracić zupełnie rozum! rzekł do siebie.

Anna Hopley, która jak widać czekała już w jakimś kąciku, zbliżyła się teraz, i zapytała bardzo grzecznie, czy państwo nie zechcą wejść do domu i spocząć chwilkę. Karol nie przyjął zaproszenia, nie pytając się o zdanie swych gości. Delikatność nie dozwala nam się narzucać, rzekł zniżonym głosem, a jenerał odpowiedział mu potwierdzającem skinieniem głowy.

— Prześliczne miejsce! zdaje mi się że jestem w gniazdku pięknej Rozamundy, zawołała mistress Panton.

Trawnik był tak gęsty i równy jak aksamit; otaczające go kwiaty i krzewy, utrzymywane bardzo starannie, wydawały woń rozkoszną. Stary, garbaty ogrodnik, w białej bluzie i w słomianym kapeluszu, stał na drabinie i rozpinał jakąś pnącą się roślinę na ścianie szopy, służącej jak się zdaje na skład narzędzi ogrodniczych.

— To zapewnie ogrodnik stoi tam na drabinie rzekł jenerał. Trzeba przyznać że bardzo starannie utrzymuje ogród.

— Tak to Hopley, odpowiedział Karol.

— Nie dosłyszałem, sir Karolu. Jak się nazywa?

— Hopley. Jest to mąż służącej mistress Grey.

— Zdaje mi się że człowiek rozpinający te rośliny musi być bardzo schorowany, rzekła mistress Panton.

— Podobno cierpi na reumatyzm, odpowiedział Karol. Czy mąż teraz zdrowszy? zapytał Anny Hopley.

— Cokolwiek, sir Karolu, tylko starzeje się biedak to też nie jest już tak silnym i żwawym jak dawniej.

— Proszę chciej doprowadzić nas do bramy, rzekł Karol; widzieliśmy już wszystko, dodał zwracając się do swych gości, i sądzę że nie mamy po co bawić tu dłużej.

Anna Hopley weszła natychmiast do labiryntu, i zaczęła krążyć wśród jego niezliczonych i krzyżujących się ciągle uliczek. Postępującym za nią zdawało się że idą ciągle w koło, zupełnie tak samo jak miss Blake gdy tam była po raz pierwszy; upłynęło dość czasu zanim doszli do bramy i ukończyli tę „pielgrzymkę" jak się wyraził pan Cattacomb.

Anna Hopley była ostrożna i przezorna. Skręcała ciągle to w tę to w ową stronę i przeprowadziła ich bez potrzeby przez mnóstwo uliczek, jak to uczyniła dawniej odprowadzając miss Blake. Gdyby trzymała się właściwej drogi, może zagadka labiryntu byłaby dla nich rozwiązana. Skoro doszli do bramy, jenerał chciał jej wsunąć w rękę pół-korony, ale nie przyjęła.

— Bardzo panu dziękuję, ale nie zasłużyłam na żadne wynagrodzenie; pobieramy oboje dostateczne zasługi od naszej pani.

— Musi to być wierna sługa i uczciwa kobieta, rzekł jenerał chowając pieniądze do kieszeni.

Gdy wyszedłszy z Labiryntu, przeszli na drugą stronę drogi, znaleźli się naprzeciwko domku oplecionego klematysem przed którym stał pan Smith, wsparty łokciami na furtce, patrząc na nich szeroko otwartemi oczyma. Ukłonił się paniom zdejmując kapelusz, a następnie oznajmił Karolowi że zaniósł już do Foxwood plany które chciał przejrzyc.

— Dziękuję, odpowiedział Karol.

— Kto to jest? zapytał kapitan Lloyd, gdy oddalili się trochę. Jestem pewny że znam tego człowieka.

— Nazywa się Smith, a pełni u mnie obowiązki rządcy.

— Smith... Smith?... nazwisko obce mi zupełnie, ale twarz znana mi dobrze. Gdzież ja go widziałem?

Karol miał ochotę zapytać go czy te rysy nie przypominają mu niejakiego Saltera, ale powstrzymał się, nie chcąc ściągnąć nieszczęścia na Smitha.

Nie uszło uwagi Karola znaczące spojrzenie Smitha gdy do niego mówił, i domyślił się zaraz że pragnie pomówić z nim na osobności, wrócił więc do niego skoro tylko całe towarzystwo weszło do parku. Rządca nie poruszył się także z miejca, jakby tam czekał na niego.

— Po co oni tam poszli sir Karolu? zapytał wskazując ręką Labirynt.

Karol wytłomaczył jak się to stało i dlaczego nie śmiał sprzeciwić się ich życzeniu.

— Co za natrętna ciekawość! zawołał pan Smith z gniewem. Dzięki Bogu że przynajmniej nie pociągnęło to za sobą złych skutków, sir Karolu. Nie mogłem pojąć co to znaczy, a nawet uwierzyć własnym oczom, gdy spostrzegłem że tyle osób wychodzi z Labiryntu.

— Zdawało mi się że chciałeś mi cóś powiedzieć, panie Smith.

— Rzeczywiście. Nie wiem czy wiadomo ci, sir Karolu, że poczta się dziś spóźniła i listy przyniesiono zaledwie przed chwilą.

— Wiem tylko że do Foxwood nie odniesiono żadnego.

— Otóż, sir Karolu, ja dziesięć minut temu odebrałem list ważny. Zasięgałem wiadomości co do owego doniesienia w dzienniku które nas tak zaniepokoiło, i teraz własnie otrzymałem odpowiedź. Jest tak jak się domyślałem. Ani w Scotland-Yard ani na wyspie Portland nie dowiedziano się niczego i nie mają tam najmniejszego podejrzenia; był to więc wymysł jakiegoś chudego literata pisującego po dwa wiersze za grosz, proste kłamstwo i nic więcej.

— Któż pana o tem upewnił?

— Tego nie mogę powiedzieć, ale możesz zawierzyć memu słowu, sir Karolu, i być co do tego zupełnie spokojnym. Chciałem jak najśpieszniej, sir Karolu, podzielić się z tobą tak pożądaną wiadomością.

— Dziękuję panu, odpowiedział Karol.

— Wrócił do swych gości rozmyślając nad tem co usłyszał. Czy Smith powiedział prawdę? Kimże był ten Smith, aby mógł odbierać podobne zawiadomienia? Czy to co mu powiedział nie było tylko bajeczką ułożoną przez niego w jakimś celu?

II.

Poznany

Ciemne story zasłaniały okna mieszkania pana Burtenshaw przy Euston rood, nie dopuszczając do pokojów gorących promieni słońca. Ajent policyjny znajdował się właśnie w jednym z pokojów na pierwszem piętrze, który zdawał się być jednocześnie jego salonem i gabinetem do pracy. Stół był założony papieramy, zapełniającemi także półki stojące pod ścianą.

W chwili gdy tam wchodzimy, pan Burtenshaw jest zajęty bardzo zawikłaną sprawą. Przysłano mu właśnie notatki będące owocem świeżych poszukiwań i czytał je z największą uwagą. Widać że musiały doprowadzić go do jakiegoś wniosku rozjaśniającego całą sprawę, bo na twarzy jego ukazał się wyraz zadowolnienia i odłożył na bok papiery.

Po chwili weszła do pokoju służąca z uwiadomieniem że na dole czeka jakiś gentleman, który chce się z nim widzieć.

— Jakże się nazywa? zapytał pan Burtenshaw.

— Nie powiedział swego nazwiska; ale jest to ten sam gentlemam który nie dawno był tu trzy razy wciągu jednego dnia. Wygląda bardzo przyzwoicie, dosyć spojrzeć na niego aby być pewnym że to gentleman.

Pan Burtenshaw przypomniał sobie zaraz o kim mówi.

— Proś tego gentlemana... albo nie, zaczekaj, dodał gdy już wychodziła. Zapytaj go pierwej o jego nazwisko.

— Ten gentleman powiada że pan go nie zna, ale panowie Plunkett et Plunkett zajmują się jego interesami, rzekła służąca wracając.

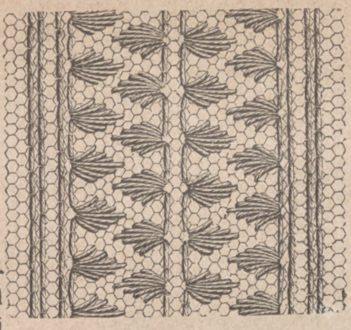
— To dosyć dla mnie. Proś go niech tu wejdzie, odpowiedział pan Burtenshaw. Musi mieć jakiś powód ukrywania swego nazwiska, pomyślał.

(*D. c. n.*)

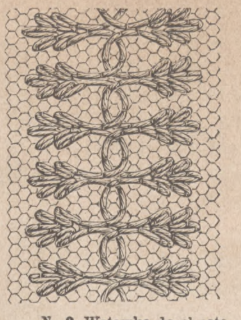
Opis do N-ru 23.

(Dokończenie.)

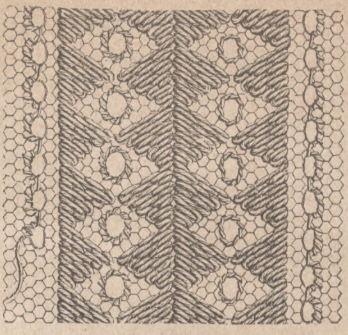
N. 27—28. **Długa sukienka dla małego dziecka. Krój N. XVI, fig. 67—70.**



N. 1. Wstawka do chusteczek, bielizny i t. p. wywodzenie na tiulu.



N. 2. Wstawka do chusteczek, bielizny i t. p. wywodzenie na tiulu.

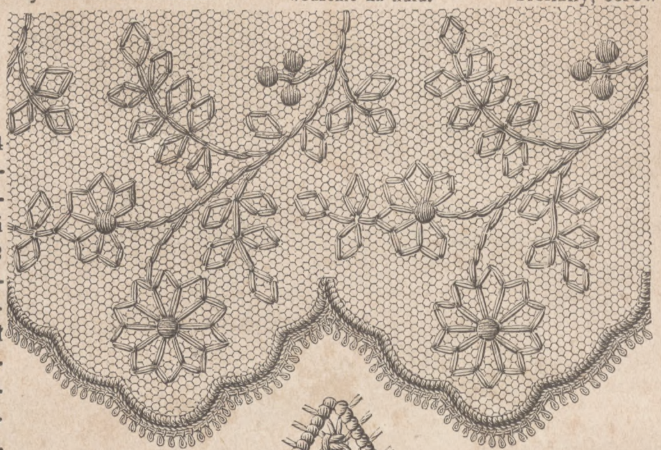


N. 3. Wstawka do chusteczek, bielizny, cerowania na tiulu.

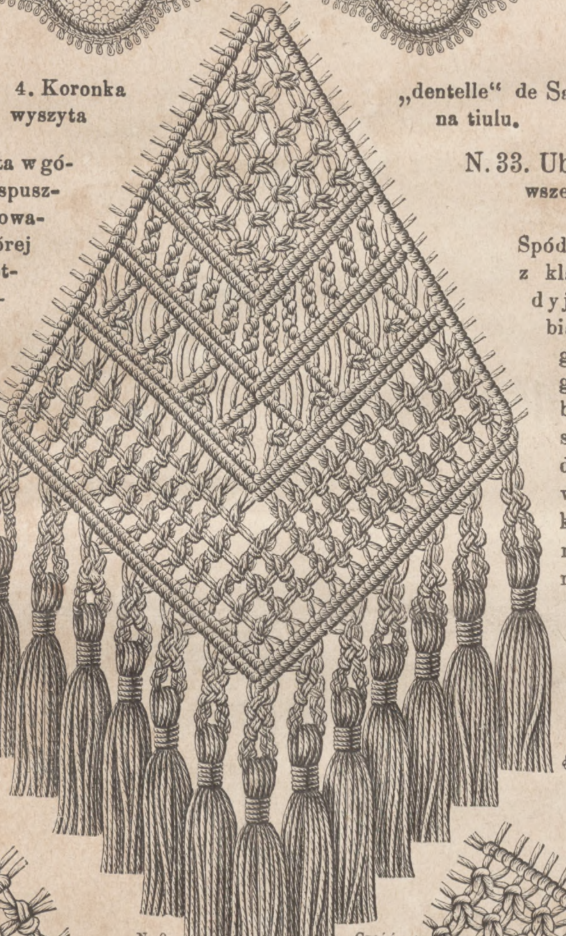


N. 5. Mantylka chusteczkowa. Patrz plecy na ryc. 6.

Model białej batystowej sukienki miał przód bogato ozdobiony wstawkami haftowanemi 5 cent. bufkami 4 c. i haftowanemi falbankami $4\frac{1}{2}$ c. i 2 c. szerokiemi. Plastron miał 71 c. długości, oprócz dolnego 23 c. szerokiego garnirunku. Przy wykroju szyi przyszyta w górę wązka, a na dół spuszczona szersza haftowana falbanka, z której zrobione także krótkie rękawki. Kokardy z wązkiej kolorowej wstążki. Sukienka z tyłu przedstawiona na ryc. 28, oszyta była u dołu wstawkami wyszywanemi na grosbotowym tiulu, przedzielanemi pasami wązkich zakładek. Takaż wstawka i zakładki zdobią końce szarf 13 cent. szerokich, 93 długich. Falbanki przy plastronie, wykroju szyi i rękawkach, były z koronki wyszytej na tiulu, zakończonej fabrycznemi koronkowemi pikotami. Formę przodu i boczków przedłuża się i rozszerza od dołu, podług oznaczonej miary, do plecków dodaje się bryt prosty drobno zmarszczony i przyszyty. Szew pokrywa listewka 1 cent. szeroka aż do przodu przedłużona, w którą nawłóczy się tasiemkę do wiązania.



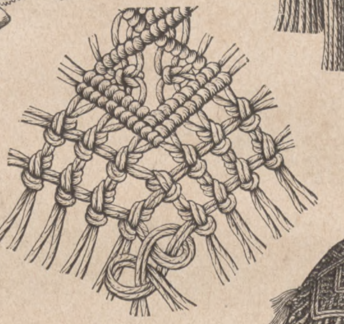
N. 4. Koronka wyszyta „dentelle“ de Saxe na tiulu.



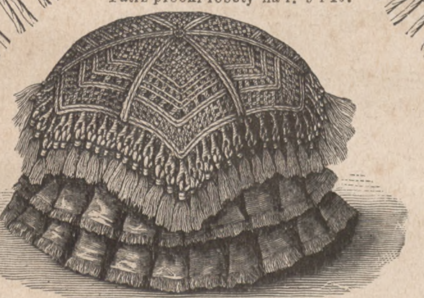
N. 8. Część przykrycia w naturalnej wielkości do r. 7. Patrz próbki roboty na r. 9 i 10.



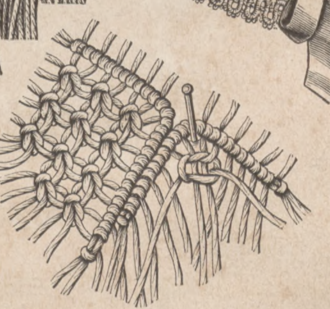
N. 11. Kołnierz płócienny dla dzieci.



N. 9. Próbka podwójnych węzłów dzierganych do przykrycia na szkatułkę ryc. 7.



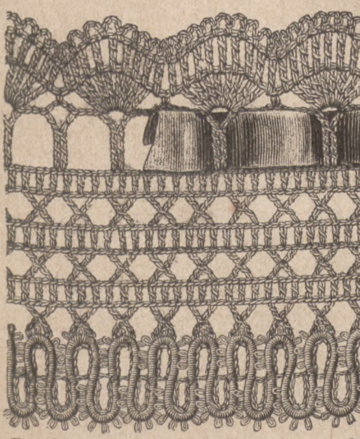
N. 7. Szkatułka na toaletę. Robota wiązana „Macrame“. Jedna część w naturalnej wielkości ryc. 8 próbki roboty ryc. 9 i 10



N. 10. Próbka wiązania do części gwiazdy ryc. 8.



N. 12. Kołnierzyk szydełkowy dla dzieci. Patrz próbkę roboty w naturalnej wielkości na r. 13.



N. 13. Próbka roboty kołnierzyka szydełkowego ryc. 12.

N. 29. **Kapelusz podróżny.**

Pleciony z grubej bronzowej słomki, podszyty jest bronzową materyą a ubrany szalikiem vieil-or w kratę kolorową, mającym 14 cent. szerokości a 140 długości, zakończonym frendzlą 5 cent. szeroką.



N. 15. Szlak do roboty na płótnie lub kanwie jawa, ściegiem plecionym i pojedyńczym.

N. 31—32. **Dwa parasoliki en-tout-cas, do wód lub podroży.**

Ryc. 31 przedstawia duży parasolik, pokryty materyą z surowego jedwabiu, z laską drewnianą wyrzynaną. Model do ryc. 32 miał laskę jasną bambusową, a pokrycie z deseniowego kretonu takiego jak suknia. Oszycie z mocnej 10 cent. szerokiej koronki.



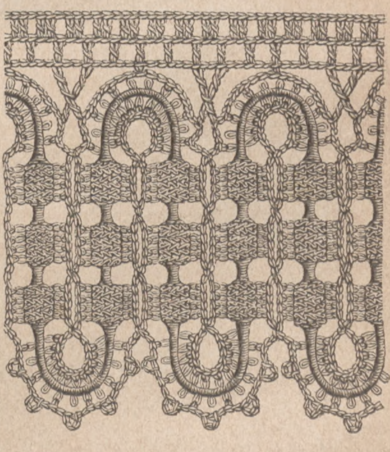
N. 6. Mantylka chusteczkowa. Patrz przód na ryc. 5.

N. 33. **Ubranie do pierwszej komunii.**

Spódnica do sukni z klarownego indyjskiego albo białego cienkiego muślinu, ogarnirowana była dwoma szerokiemi, drobno plisowanemi falbankami, oszytemi 8 cent. szeroką koronką. Takąż koronką oszyta krótka draperya z przodu, bryt tylny suto i bardzo bufiasto podpięty, rękawy i plastron fałdowany stanika bez baskiny, obciśle przylegającego do figury. Szarfa ze wstążki w atłasie 6 cent. szerorokiej.

N. 34. **Suknia z draperyą à panier. Krój i widok przodu na arkuszu z krojami N. XVII, fig. 71—72.**

Spódnica do sukni z białego indyjskiego kaszmiru, była cała ułożona w fałdy $1\frac{1}{2}$ cent. głębokie, a u dołu oszyta riuszą 18 cent. szeroką, układaną w potrójne kontrafałdy. Stanik zapinany na złote guziki przykroić można podług formy do ryc. 5 i 6. Na fig. 71 dajemy model i miary draperyi: *a* oznacza panier, którego brzegi poprzeczne są ściśle sfałdowane, a brzeg górny



N. 14. Koronka szydełkowa przy torsadce medaljonowej mignardisse.



N. 16. Uczesanie głowy w pukle.

Opis do N-ru 25.

N. 1—4. Wstawki i koronka.

Cerowanie i wywodzenie na tiulu białym lub czarnym, nićmi płaskiemi, bawełną lub jedwabiem.

N. 5—6. Mantylka chusteczkowa.

Dwa kawałki tiulu koronkowego, mające w górze 36, w końcach dolnych 12—14 cent. szerokości, a po 105 cent. długości, są w górnych brzegach skośnie ścięte, na środku pleców zeszyte i do 22 cent. środkowej szerokości przyfałdowane sposobem wskazanym na ryc. 6. Ażeby mantylka gładko do figury przystawała, przyszywa się od spodu, do rogu zeszycia, wązką wstążkę, którą z przodu wiąże się na kokardę. Do górnego wykroju mantylki przyszywa się kawałek sztywnego tiulu, 46 cent. długi w środku 11 cent. szeroki i w ząb ścięty, ku końcom do 2 cent. zwężony, naszyty dwa razy koronką nadmarszczoną. Wykrój szyi ogarnirowany jest sutą riuszą koronkową, brzeg dolny mantylki oszyty koronką, której dwa rzędy naszywa się na mantylce, a trzeci do brzegu. Końce dwa razy koronką oszyte, są



N. 23—24. Dwie sukienki dla panienek lat 10—13.

N. 23. Suknia z bluzkowym stanikiem. N. 24. Suknia z vêtement.

z przodu na wcięciu w pasie trochę przyfałdowane, na krzyż założone i gałązką kwiatów spięte.



N. 27. Kapelusz okrągły ubrany wieńcem z kwiatów. Tył kapelusza na ryc. 19.

N. 7—10. Pudełko z poduszeczką na toaletę, ozdobione robotą macramè.

Okrągłe, tekturowe pudełko, u dołu rozszerzone, z przykryciem oddzielnem w środek wkładanem, mające $7^1/_2$ cent. wysokości, w przecięciu 12 górnej a 14 dolnej szerokości, stanowi fason pudełka z poduszeczką. Brzegi boczne pokrywają dwie $4^1/_2$ cent. szerokie atłasowe falbanki, u dołu na frendzelkę 1 cent. wystrzępione, w górze w kontrafałdy ułożone i jedna nad drugą przyszyte. Przyszycie górnej falbanki przykrywa pliska atłasowa, 1 cent. szeroka.

trochę kolisto do baskiny przyszyty. Część *b* jest w górze wachlarzowo sfałdowana i do plecków przymocowana, *c* daje połowę tylnego bryta, któren jest z boków i w środku sfałdowany, a u dołu w kontrafałdy ułożony i szwem odwracanym u dołu na spódnicy przyszyty.

N. 39. Fartuch ogrodowy albo do gospodarstwa. Zobaczyć próbki koronki ryc. 15 i 16 w N. 22. Krój N. XI, fig. 50—51.

Fartuch dobrze całą suknię osłaniający, zrobiony był z płótna niebieskiego, oszyty koronką szydełkową, robioną z nici écru, przy ząbkach z plecionki takiegoż koloru. Wązkie stębnowane listewki z płótna écru.



N. 18. Kapelusz okrągły słomkowy ubrany piórami i aksamitem. Patrz przód na r. 28.



N. 20 Ubranie z chusteczką koronkową. N. 20—22. [...]a dla młodych panien. N. 21. Ubran[...]zką szmizetkową. N. 22. Ubranie ze stanikiem gorsecikowym.



N. 19. Kapelusz okrągły słomkowy, ubrany wiankiem z kwiatów. Patrz przód na ryc. 27.



N. 29. Ubranie z draperyą z dwóch stron odmienną. Patrz drugą stronę na ryc. 24 w N-rze 26.

N. 30. Ubranie z podwójną draperyą à panier. Patrz plecy na ryc. 17 w N-rze 26.



N. 31. Ubranie z krótkim stanikiem i draperyą na spódnicy. Patrz plecy na r. 18 w N-rze 26 i miary draperyi na ryc. 38.

N. 32. Ubranie spacerowe z vêtement. Redingote.

Na przykryciu dodana 4 cent. wysoka poduszka atłasowa, otrębami wypchana, w koło oszyta falbanką, 2 cent. za brzeg wystającą. Na wierzch dane przykrycie w kształcie gwiazdy o 6 promieniach, robotą macramé, do której jedną kwaterkę dajemy w naturalnej wielkości na ryc. 8, a powiększone próbki roboty na ryc. 9 i 10. Robotę macramé można zastąpić wywodzeniem na tiulu albo cerowaniem na tle siatkowem.

N. 11—13. Kołnierzyki dla dzieci.

Ryc. 11 przedstawia cienki, płócienny kołnierzyk, zwykłą formą marynarską oszyty nadmarszczoną walansjenką. Na kołnierzyku przystębnowane są wązką listewką, spiczaste zęby haftowane, których rogi przyszywa się do koronki, a pod zęby podwłóczy kolorową wstążkę, służące zarazem do związania kołnierzyka. Na ryc. 12 dajemy kołnierzyk dziecinny, robiony szydełkiem; próbkę roboty naturalnej wielkości przedstawia ryc. 20. W górze kołnierzyk przyciąga się na wstążeczkę kolorową, a u dołu zakończony jest ząbkami z mignardisse, dochodzącemi z przodu do przewleczenia wstążeczki.



N. 25—26. Sukienki dla panienek lat 10—13.

N. 25. Sukienka fałdowana pod szyję. N. 26. Sukienka wycięta garnirowana koronką.

N. 18 i 28. Kapelusz okrągły słomkowy ozdobiony piórkami.

Kapelusz przedstawiony z przodu i z tyłu na ryc. 18 i 28, był z żółtawej słomki Manilla; główka miała 9 c. wysokości, a rondo z tyłu 7, z przodu 11 cent. szerokie, podszyte drucikiem przez wygięcie miało nadaną niezwykłą formę, z jednego boku było nieznacznemi ściegami do główki w górę przyczepione. Od spodu rondo podszyte było bladożółtym atłasem, a z brzegu objęte wązkim skosem aksamitu bordo. Do ubrania służyły dwa długie blado-żółte strusie pióra i 20 cent. szeroki skos aksamitu bordo, przyfałdowany i na rondku upięty, dalej koło główki otoczony; drugi skośny kawałek przypięty



N. 17. Uczesanie głowy w kokardy z włosów i loki.

N. 15. Szlak do roboty ściegiem plecionym i pojedyńczym na dwie strony.

Model robiony był na powłóczce z niebardzo cienkiego ani zbyt gęstego płótna, pelą ponsową; deseń ten może służyć do roboty na kanwie płóciennej albo jawa.

N. 18. Ubranie głowy w pukle z włosów i szpilki metalowe lub szyldkretowe.



N. 28. Kapelusz ubrany piórami. Tył kapelusza na ryc. 18.

z wierzchu do spodu przez rondko. Jedno pióro przypięte pod fałdami z wierzchu, drugie przymocowane stalową agrafką pod rondem.

N. 19 i 28. Kapelusz okrągły, ozdobiony wiankiem kwiatów.

Ryc. 19 i 28 przedstawia kapelusz z cienkiej florenckiej słomki, z dużem rondem, z główką z przodu w ząb przedłużoną; ubrany wstążką atłasową słomkowego koloru i wiankiem z liści róż do cieniu i pączków różanych; z tych ostatnich ułożona gałązka opuszczona z tyłu.

N. 20—22. Ubrania dla młodych panienek.

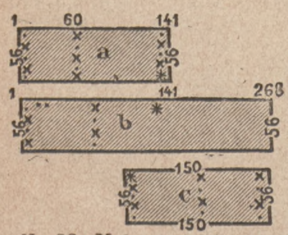
N. 20. Ubranie z koronkową chusteczką.

Fason do chusteczki stanowią dwa jednakowe kawałki cienkiego tiulu, mające 12 cent. środkowej długości a 7 szerokości na ramionach, gdzie z jednego boku są ze sobą zeszyte a z drugiego złączone kokardami z kolorowej $4\frac{1}{2}$ cent. szerokiej atłasowej wstążki. Dolny brzeg chusteczki oszyty jest nadmarszczoną, 7 cent. szeroką koronką, nad którą dane dwie 2—3 cent. szerokie pliski z jedwabnej krepowanej gazy, tego co wstążka koloru. Druga koronka i dwie pliski naszyte poniżej wykroju szyi, ogarnirowanego riuszą z koronki; także koronka naszyta wahlarzowo na środku z tyłu i z przodu.

N. 21. Ubranie z chusteczką szmizetkową.

Kawałek haftu gipiurowego w kolorze ficelle, 10 cent. szeroki a 110 długi, w środku długości w róg zaszyty, z tyłu kokardą spięty, stanowi główną część chusteczki. Drugi równej długości, 4 c. szeroki kawałek haftu, przyszywa się w górze do poprzedzającego, wywija na wierzch i podkłada wstążką atłasową koloru ficelle, którą wiąże się z przodu na kokardkę. Przy wykroju szyi, od środka pleców na 10 c. długości z każdej strony, przyszyty jest w górę na kształt stojącego kołnierzyka, trzeci wązki kawałek haftu, zakończony z przodu kokardką.

(Dokończenie patrz w Dodatku nadzwyczajnym).



N. 33. Mały model i miary draperyi do ryc. 31, i ryc. 18 w N-rze 26.



N. 34. Deseń do aplikacyi na poduszkę. Patrz ryc. 19 i 20 w N-rze 26.